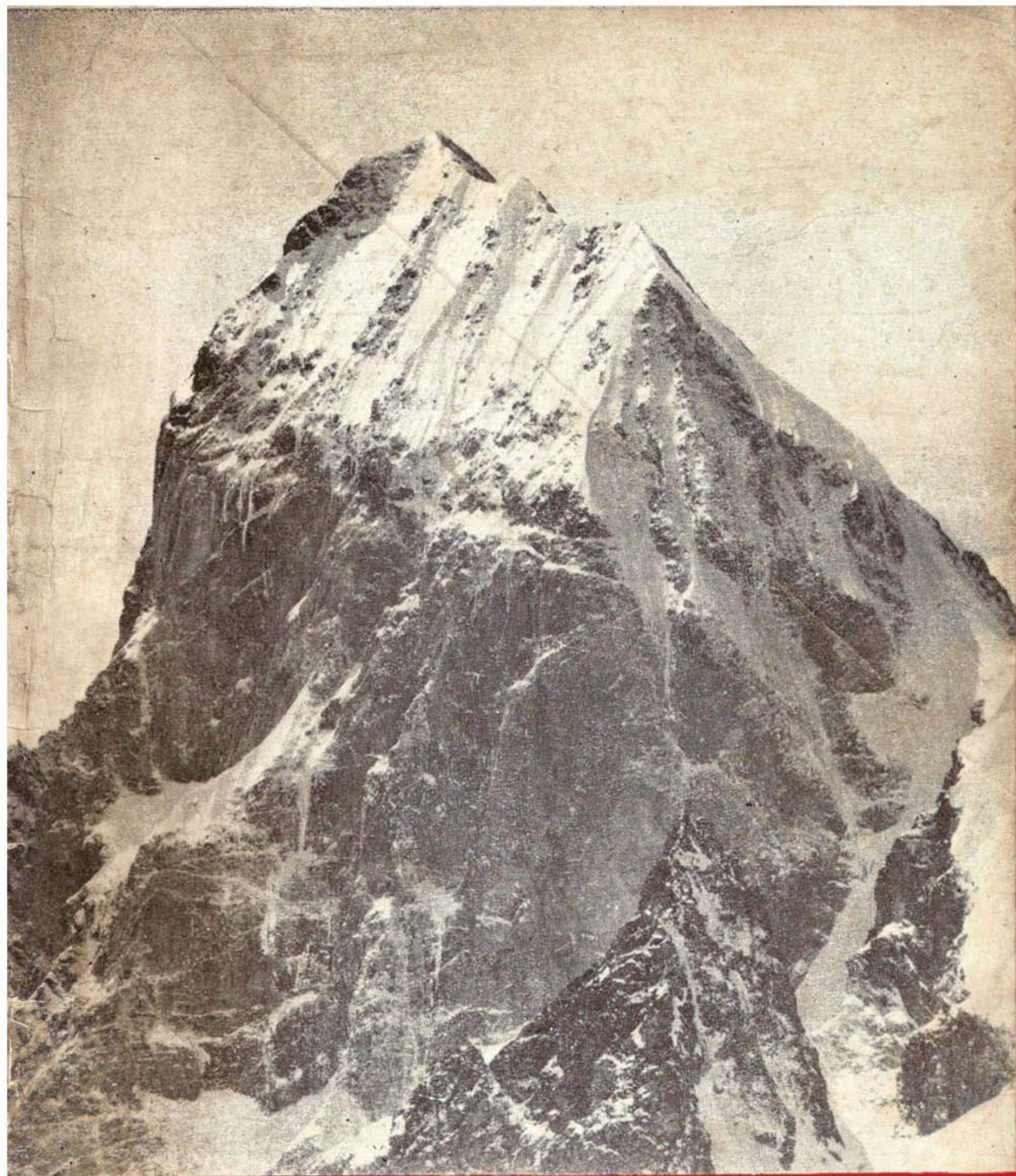




Taternik

2
1961

TATERNIK

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego

Czasopismo poświęcone sprawom taternictwa, alpinizmu i speleologii

Redaktor: Witold H. Paryski
Antałówka 7, Zakopane (Polska), tel. 2158
Zastępca redaktora: Jan Staszek
ul. Franciszkańska 14a, m. 7, Warszawa
Komitet Redakcyjny: Witold H. Paryski (przewodniczący), Ryszard Gradziński, Ryszard W. Schramm
i Jan Staszek

Adres Redakcji: „Taternik”, Antałówka 7, Zakopane (Polska), tel. 2158
Adres Administracji: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, ul. Sienkiewicza 12/439, Warszawa, tel. 669-56

Prenumerata:

„Taternik” ukazuje się w 4 zeszytach rocznie.

Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują „Taternika” w ramach składek członkowskich poprzez Koła Klubu Wysokogórskiego.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę krajową przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO nr 1-6-100020 Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. — Cena pojedynczego numeru zł 10. — Prenumerata półroczna zł 20, roczna zł 40.

Przedpłaty na prenumeratę zagraniczną na okresy półroczne (zł 28) i roczne (zł 56) przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa, konto nr 1-6-100024.

Wymiana:

„Taternika” wysyła się na wymianę za wydawnictwa o pokrewnych zainteresowaniach (alpinistyczne, turystyczne, krajoznawcze, geograficzne, speleologiczne itd.). Wymianę załatwia Redakcja „Taternika”.

Numery archiwalne:

Numery archiwalne „Taternika” (wykaz i ceny są podane na str. III okładki niniejszego numeru) można zamawiać w Administracji „Taternika” lub w Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12.

Wydawca: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego,
Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439, tel. 669-56.

Realizacja: Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa,
ul. Rutkowskiego 7/9, tel. 624-51.

Druk: Technikum Poligraficzne, Warszawa, ul. Konwik-
torska 2, tel. 31-36-52. Zam. 307/61. 2.500. H-54

Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

Rocznik 37

Zakopane, czerwiec 1961

nr 2 (171)



Zadni Kościelec i Kościelec ze Zmarzłych Czub

Fot. Krystyna Gorazdowska

TREŚĆ

Suita taternicka	
<i>Jerzy Kolankowski</i>	66
Z książki wejść	
<i>Anna Nehring</i>	70

STANISŁAW PORĘBSKI	
<i>Witold H. Paryski</i>	72
Wspomnienie o towarzyszu liny	
<i>Jadwiga Roguska-Cybulska</i>	74

Taternicy współcześni	
<i>Janusz Flach</i>	77

*

Materiały do historii taternictwa	79
Materiały do historii alpinizmu polskiego	83

Z Tatr	85
Itineraria	86
Skalne drogi	89
Z Himalajów	96
Speleologia i taternictwo jaskiniowe	101
Z piśmiennictwa	102
Notatki	107
Sprawy Klubu Wysokogórskiego	108
Listy do Redakcji	109
Obcojęzyczne streszczenia	110
Od Redakcji	112

Rysunki na s. 65 i 69: *Irena Zaborowska*
Fotografia na s. 78: *Roman Petrycki*

Na okładce przedniej: Pn. szczyt Uszby z Czatyn Tau.

Fot. *Ivan Urbanović*

Na okładce tylnej: Na lewym filarze pn.-wsch. ściany Mieguszowieckiego Szczytu Pośredniego.

Fot. *Józef Nyka*

SUITA TATERNICKA

*Henrykowi Czarnockiemu
i Tadeuszowi Strumille
na pożegnanie*

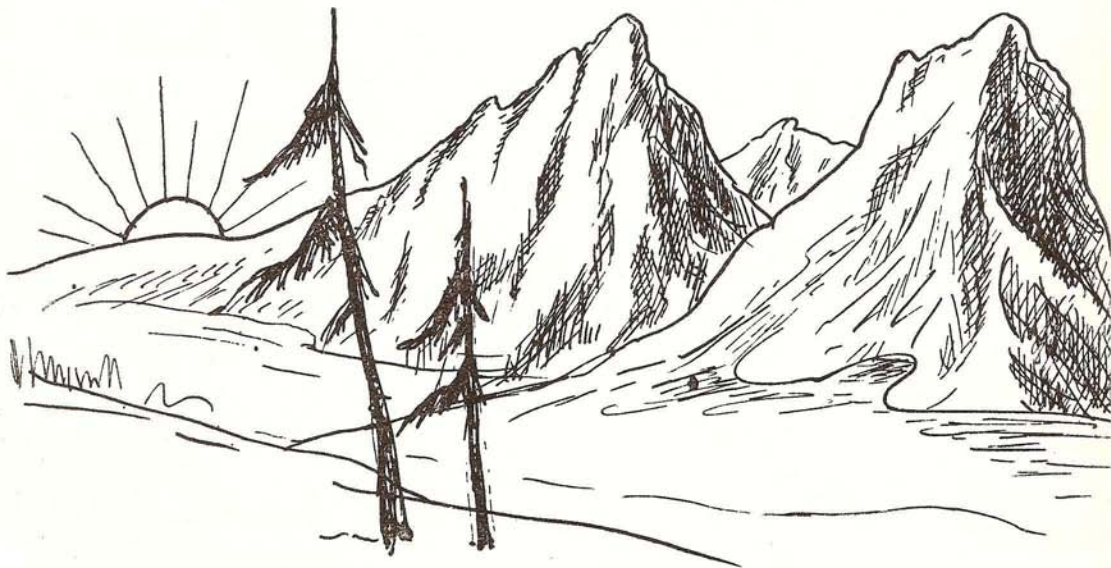
ALLEGRO

Lekko niosą nas stopy
Lekko niosą nas sny —
Sen i życie to jedno
I jeden cel nasz — szczyt.

Wartko spływa w dół woda
Słońce racą wyrzela
Wesoła górską przygodą
Mocna dłoń przyjaciela

Mocna jest przyjaźń i młodość —
Każdą przepaść przebędzie —

Śmierć? Miniemy bez troski,
Jak cień skalnej krawędzi!



ROMANZA

Opadały śniegi
usypiały strugi
obłoki pokładły się
jak owce
i słuchały
zimowej baśni
gór.

Nad brzegiem
przepaści
w srebro zachodziły
kozłowce

A za oknem
paliła się lampa
A w piersiach serce
płonęło —

Dlaczego stoisz
przed
tą

lodowatą

szybą?

Dlaczego serce
przystanęło?

Czy góra przed nim
nazbyt wielka
i ciemna
wyrosła?

Miłość każdą
góre
przebędzie
miła,
przełęcz każdą
i każdą dolinę

Weźmiemy haki
młotek i linę
weźmiemy się pod rękę
drugą podamy piosence
i pójdziemy
zawsze nierozłączni
razem...

Razem w słońcu i w cieniu
razem w życiu...
A w śmierci?.....

CANZONETTA

Sier harmonia coraz bliższa
cisza w górach coraz cichsza —
Pianissimo...

Po białej karcie śniegu
podobna srebrzystym ściegom
pięciolinia
śladu
zbiega...

Nie wierz tej ciszy!!!
Ostrzegam.

ANDANTE SOSTENUTO

Już gwiazdy nad nami swój biwak zwinęły
Już cienie błękitne żłebami spływały
I grani wyniosłej zabłysło znów ostrze
Mierzące gdzieś w cel aż, niechybnie jak oszczep.
Niechybna jak oszczep zwycięstwa godzina...
Lecz w czyjej Los ręce?!
Zawróćcie!!!
L A W I N A!

MAŁA FUGA

Sześć razy	w tej
na minutę	przepaści
na	w tej
wieczność	symfonii
raz	dzwon
nadszedł czas	dzwoni
odszedł	dzwon
czas	tonie
Tchu!	życie
Sześć	czy zgon
razy	tonie
na	chwieje się
minutę	płomień
Tchu!!!	cień
Tchu...	chwieje się
Tysiące	płomień i cień
dzwonów	wsiąka w ten
dzwonów	dzień
tysiące	w śnieg
dzwoni	wsiąka
harf	gorące
i słońce	Życie
tysiące	Sześć razy na minutę
Tchu	Słońce, słońce
słońca	na
gasnące	szczyście!!!



MARCIA FUNEBRE

Podniosły się poczerńiałe nagle
turnie wokół — żałobne żagle —
przełęcz zmały przełęk
nad umarłymi przyklęły —
Podniosą ich teraz podniosą
Ramiona przyjaciół poniosą —
Zejdą żałobni w doliny
Do żony i do rodziny —
W dół zgaszone pochodnie!
W dół, w dół, niżej doliną
niechaj z oczu już zginą
szczyty nienawistne
szczyty ulubione
O Tatry!
W dół zgaszone pochodnie
w dół pochodnie zgaszone.
Nie odchódźcie!
Szczyt Was woła
szczyt
już błękitny
już
uśmiechnięty
łagodnie...

FINALE

Cóż, że nie doszli za życia,
że nie skończyli grani?
Grań przedłuża się w nieskończoność,
w górę z gwiazd do zdobycia...

Jerzy Kolankowski

15 IV 1956

Dolina Pięciu Stawów Polskich

Z książki wejść

Staw miliona manierek wody nie daje spokoju. Najniepotrzebniej jest. Urąga naszemu pragnieniu, my — temu bezsensownemu nagromadzeniu napoju. Poziomością zwierciadła kontrastuje z naszym pionem, z pozycją stojącą — lecz tym różną od zwykłej, że oczy opuszczają swe miejsce przenosząc się na czubek głowy, gdzie przez pętle włosów wypatrują drogi — już nie w górę ale w dal. Dal jest w górze, zenit położył się za krawędź sąsiednich gór. Drażniony i boleśnie nadużywany zmysł równowagi odmawia posłuszeństwa, by po przekroczeniu granicy cierpliwości wycyniać fanaberyjne dziwactwa, kuglarzkie sztuczki mieszania dwóch żywiołów, poziomu i pionu. Już nie bardzo wiadomo: czy wspinamy się po skąpych chwytach zmarszczek pionowego stawu nad horyzontalną taflą ściany, czy pływamy leniwie na zalegających dolinę urwiskach, czy... W omamieniu pozostaje wątpliwość resztki pewnika, że parę godzin wystarczy na sprowadzenie prawa ciężenia w stan nieważkości.

Chodzenie na nogach po plażach dolin. Chodzenie przed siebie, za siebie, w bok siebie. Codzienna konwencja. Nietrawne przyzwyczajenie pęka w zetknięciu z realizmem rzeczy prostopadłych, z wędrówkami na przedłużeniu promienia Ziemi. Nic, że w końcu ma się dosyć, że zapragnie witalnej płaszczyzny horyzontu wyznaczanego morzem, zatęskni za ruchliwością poziomej dali. Doświadczenie zmęczenia świata w kąpielach ściany będzie niewytarzalne i zawsze powtarzane.

Ciasnota bytu sprowadzonego do zasięgu chwytów i stopni graniczy o włos wytrzymałości liny z masami perspektyw powietrza, pozbawionymi i chwytów i spadochronu. Wszystko jest pod ręką, w ręce, wszystko do słowności. Ruchami pływaka odganiającego koniec dna, odbijamy nieustannie od suchego dna powietrza, będącego pod powierzchnią. Unoszenie się ponad ziemią, bez metafizyki, niby zgodne z fizyką, ale... czy wspinamy się po skąpych chwytach zmarszczek pionowego stawu nad horyzontalną taflą ściany?

* * *

Długości liny nawijają się na tarczę czasu. Na zegarze ściany wskazówki przeskakują nierównomiernie swoje trzydziestometrowe minuty, kłócąc się z widoczną na ręce rachubą astronomów, stwarzając rwanym rytmem nowe, choć krótkotrwałe miary.

Jest tak, że nagle ciąg chwytów, splaszczających się i ulatających — hamuje wszystko: rozruszany, sapiący pociąg mięśni i lęku. Wte-

dy trudności przetwarzają czas dynamiczny na potencjalny, minuty przechodzą w sekundy, bieg słońca ujawnia cząsteczki prędkości, jej niepodzielne jednostki. Wtedy w przyspieszonym oddechu słychać tykanie obrotu Ziemi. Stężony czas braku chwytu gromadzi się w próbach, by wreszcie wypuścić nabrzmiały balon minut. Życie sprasowane do nonsensu koncentratu rozcieńcza się w roztworze bezpieczeństwa. Przechodzi z jakości w ilość. Łamie szlabany lęku i wyobcowania, samotność rzeczywistą przeistacza w sielankową tylko, refleksyjną. Osaczenie wspinaczką w górę ustępuje wycieczce naprzód. Ściana zamienia się w teren, jednostką są znów metry. Okazuje się, że świat jest znacznie większy niż pochyły stopień, szerszy niż ryska na ręce, głośniejszy od dźwięku haka. Rozwierają się szosy dolin i rolne równiny — wracają z niedosiężnego Liptowa abstrakcji do rzeczywistości, znowu realnie wolne, nie tylko dla wzroku: łączą się organicznie ze ścianą i ludźmi. Podściennie piargi nie krają świata — który znów jest jeden — na dwie obce części. Sytuacje skrajne stępują się i rozchodzą w wygodnej przeciętności deptania roślinnej skały.

Trudności i ekspozycja rytmizują drogę czasu. Tempo ściany przyspiesza lub zwalnia. Zwalnia i staje, gromadzi siły w węzłach skały, by później w czasie jednego metra przejść dwadzieścia. W końcu jest jakiś szczyt.

* * *

Trochę nad, trochę pod ziemią. Strefa niezcyja i nienazwana. Pas kresowy zaschłego potoku granitu i mokrej lekkości powietrza. Istnienie zeszele ze ściany w podziemia, w płytkie piwnice dolin wydrążone pod archipelagami want. Sutereny gór, groteskowe jamy nieistniejących zwierząt, bezzasadne w przeznaczeniu, bardziej niecelowe niż tutaj wszystko. Gawry na krótkie noce sezonu letniego dla wtórnych troglodytów.

Trzy godziny temu włączeni w świat postawieni do góry nie wierzyliśmy w dolinne koleby nad pienistymi trawnikami. Odizolowani szklaną kratą wspinaczki, zapatrzeni w niewidoczny szczyt, czekaliśmy na niego, na te sekundy dzielące zakończenie — od nierozpoczętego odpoczynku zwijania liny. Teraz myśli dziecinne i ostateczne: czy każdemu wyobrażenia służy stereotypem możliwości zawalenia stropu?

Strop zawisa nad oczami infantylnego lęku, w niezmienniej, bezpiecznej i życzliwej odległości. Podparty ciężącym jądrem, lekki krysta-

liczny daszek granitu, altana nieistniejącego przedmieścia. Dopiero nieopatrzny ruch głowy sprowadza boleśnie do rzeczy. Ale jeśli leżeć...

To nie tylko mikroskop ziarna skały, bliski i tajemniczy jak rysy dłoni. Ponad stopami są góry, zamknięte ramką wizjera — wejścia, bez peryferii i rozproszenia, wycelowane niezmienną ilością konturu tych tylko szczytów, tych tylko piarżysk, wzmocnione i wyostrome ograniczeniem. Nic pośredniego, żadnej logicznej całości. Nie ma doliny, zapadła z nią pobliska o metry łąka, zawieruszone w rozciągniętym

wzroku odpoczynku. Jedyne brakujące ogniwa świata, podglądane przez szparę stanowisk, nienaturalnie naturalnych.

Zmierzch wycieka z komory wypoczynku i snu rozchodząc się po widoku. Świecy chiński teatr cieni wyświetla ostatnie rzuty abstrakcji na ekranach naturalistycznego wnętrza. Jeszcze wygoda ciepłego pancerza puchowego bezpieczeństwa, światoodpornej muszli suwerennej błyskawicznym zamkiem. Potem noc.

Anna Nehring



Kiezmarski Szczyt i Widły od pn.

Fot. Roman Petrycki



Stanisław

Porębski

1884 – 1960

W sierpniu 1903 roku zjawił się nad Poradzkim Stawem osiemnastoletni Stanisław Porębski, po dokonaniu tegoż dnia — w towarzystwie Włodzimierza Eoldireffa — pierwszego wejścia na Mięguszwiecki Szczyt rosre dni. W 57 lat potem — gnębiony już n.euleczalną chorobą — 76-letni Stanisław Porębski po raz ostatni przyszedł nad to samo jez.o.o, by na kilka tygodni przed śmiercią pożegnać się z polskimi i węgierskimi przyjaciółmi-taternikami i z tak bardzo przez siebie ukochanymi Tatrami.

Na przestrzeni owych 57 lat dużo się zmieniło na świecie (przez który przeszły dwie wielkie wojny), a także i w taternictwie. W r. 1903 — mała znajomość liny wśród taterników (na Mięguszwiecki Szczyt Pośredni wszedł Porębski bez liny), w r. 1960 — rozkwit techniki sztucznych ułatwień; w r. 1903 — jeszcze zdobywanie nietkniętych stopą ludzką wielkich szczytów tatrzańskich, w r. 1960 — osiem dróg poprzez urwiska Galerii Gankowej.

Niemalą i wszechstronną rolę w pierwszej części owego okresu taternictwa odegrał Porębski. Przed pierwszą wojną światową należał do najczynniejszych taterników i miał w swym dorobku przejścia najtrudniejszych dróg owych czasów, a więc na Zabiego Konia, pd. ścianą Ostrego Szczytu, oczywiście pd. ścianą Zamarłej Turni i wiele innych. Lista jego ważniejszych wejść tatrzańskich przedstawia się następująco (w kolejności topograficznej):

Swinica. VII wejście zimowe oraz I zejście zimowe do Doliny Pięciu Stawów Polskich, 3 IV 1921, ze Stanisławem Wyrzykowskim.

Niebieska Turnia. IV wejście wsch. granią, 16 V 1910, z Władysławem Kulczyńskim i Mieczysławem Świerzem.

Zamarła Turnia. IV wejście pd. ścianą, 1912 r., z Marianem Skowzgidem.

Zadni Mnich. I wejście pn. ścianą, 20 VIII 1909, z Włodzimierzem Jodkowskim.

Mnich. I zejście ku zach., 21 VII 1907, samotnie.

Zadnia Bednarzowa Turnia. I wejście, 3 VIII 1905, z W. Boldireffem.

Hińczowa Przełęcz. I wejście wprost od Morzkiego Oka, VIII 1906, z Adamem Staniszewskim.

Mięguszowiecki Szczyt. Nowy wariant od pn.-zach. na zach. grań, VIII 1906, z A. Staniszewskim. — Pn. ścianą, 1910 r., samotnie.

Mięguszowiecki Szczyt Pośredni. I wejście, 15 VIII 1903, z W. Boldireffem.

Zabi Koń. V wejście wsch. granią, 31 VIII 1909, z W. Jodkowskim.

Niżnie Rysy. I zejście pn. granią, 13 VIII 1909, samotnie.

Ciężka Przełęczka. I wejście (przy przejściu granią), 13 VIII 1909, samotnie.

Zabi Szczyt Wyżni. I wejście pd.-zach. granią, 13 VIII 1909, samotnie.

Zabia Łalka. II wejście w ogóle oraz I zejście ku zach., 15 VIII 1908, z Wandą Jerominówną, Januszem Chmielowskim, Gyulą Komarnickim, Romanem Kordysem, Ignacym Królem, Kazimierzem Rybińskim, Józefem Wiśniewskim i Mariuszem Zaruskim.

*

Warto dodać, że w r. 1953, w 50-lecie zdobycia przez siebie Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego, powtórzył on wejście na ten szczyt.

Rozwiniął też żywą działalność w organizacjach taternickich i turystycznych. Członkiem Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego (z której wyrósł później Klub Wysokogórski) został w r. 1908, członkiem jej zarządu (m. i. na stanowisku sekretarza) był w latach 1912, 1913 i 1919, członkiem komisji rewizyjnej w r. 1924, a ponadto w r. 1913 wchodził w skład komitetu redakcyjnego „Taternika”.

Był też czynnym działaczem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, pełniąc przez lat 12 (1912—1925) różne funkcje w jego zarządzie głównym, m. i. jako sekretarz i skarbnik.

Jego działalność pisarska na tematy górskie była różnorodna, gdyż obejmuje opisy taternickie, artykuły techniczne, topograficzno-historyczne i inne oraz utwory literackie. Należy podkreślić, że zwłaszcza w ostatnich swych artykułach uprawiał popularyzację taternictwa

i jego dzieł oraz akcję mającą na celu zapobieganie wypadkom górskim.

Pomijając opisy nowych dróg taternickich, przekłady oraz sprawozdania organizacyjne, wykaz (może niekompletny) jego wydrukowanych artykułów wygląda następująco:

To i owo ze skałnego świata. Taternik III, 1909, nr 6: 136—140.

[Głos w dyskusji o używaniu liny]. Tat. III, 1909, nr 6: 140.

Śród opok. Fantazja taternicka. Tat. IV, 1910, nr 1: 1—5.

O użyciu liny w turystyce. Tat. VII, 1913, nr 1: 8—15; nr 2: 24—30.

Północna ściana Mięguszowieckiego jako problem turystyczny. (Kartki monograficzne). Tat. VII, 1913, nr 5: 87—94.

[O pd. ścianie Zamarłej Turni]. Tat. XIX, 1935, nr 5: 169—170. [Rzecz napisana w 1910 r.].

Narodziny wielkiego taternictwa. Sportowiec (Warszawa) 1951, nr 23 i 24; 1952, nr 4, 6, 7, 13—17, 21, 30—33, 35, 40, 43, 44 i 51.

Tragiczny wypadek na ścianie Kozich Czubów. Sportowiec 1952, nr 35.

Śmiertelna rysa. Sportowiec 1953. [O Żabim Koniul].

Dramaty Zamarłej Turni. Sportowiec 1954, nr 35 i 36.

Nad dachami świata. Sportowiec 1954, nr 49. [O wyprawie na Mount Everest w 1953 r.].

Pięćdziesiąt lat temu. Turysta (Warszawa) III, 1954, nr 1 (18): 10. [O swym pierwszym wejściu na Mięguszowiecki Szczyt Pośredni].

*

W ostatnim okresie swego życia Porębski poświęcił się popularyzacji turystyki nie tylko piórem, lecz również pracując jako przewodnik PTTK i wygłaszając odczyty, m. i. w Zakopanem, gdzie jego charakterystyczna, wysoka sylwetka pojawiała się regularnie każdego lata.

Tak przedstawiają się pokrótce suche fakty, które złożyły się na związaną z górami 57-letnią działalność Stanisława Porębskiego, w czasie między jego pierwszymi a ostatnimi odwiedzinami Popradzkiego Stawu.

Witold H. Paryski

Wspomnienie o towarzyszach liny

Stanisława Porębskiego poznałam w schronisku przy Morskim Oku. Byłam wówczas młodszą dziewczyną, stawiającą pierwsze kroki taternicze pod opieką Jerzego Zuławskiego, który mnie wprowadzał w środowisko najwybitniejszych polskich wspinaczy. Świeżo poznany, dorodny, dwudziestoparoletni młodzieniec stał się od razu kandydatem na mojego towarzysza liny. Pociągał mnie ku sobie nie tylko jego swoisty urok osobisty, ale przede wszystkim niezwykła przedsiębiorczość i gotowość prowadzenia mnie na najtrudniejsze wspinaczki owego epoki. Po paru naszych wspólnych wycieczkach z Jerzym i Januszem Zuławskimi zaczął zaraz w ciągu zimy rozrzucać przede mną w swych długich listach nęcące projekty na następne wakacje. Nic też dziwnego, że zajął wkrótce miejsce mego stałego towarzysza górskiego. On też zakrzętnął się koło wciągnięcia mnie w poczet członków pierwszej polskiej organizacji taterniczej (Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego), załatwiał wszystkie związane z tym formalności i kompletował ze mną wymaganą listę moich osiągnięć wysokogórskich.

Taterniczek było wówczas jeszcze niewiele i oczy wszystkich były zwrócone nie tylko na niego, ale i na towarzyszących im w górach wspinaczy. Że zaś w każdym męskim zespole jeden na drugim nie zostawia suchej nitki i ten i ów rad zabawić się cudzym kosztem, więc Porębski, ciesząc się powodzeniem u kobiet i o swój zewnętrzny wygląd nader dbały, narażony był na różne krytyki. Zresztą niektóre jego oryginalności dawały po temu specjalną okazję, np. przybywając w lecie do schroniska przy Morskim Oku na dłuższy pobyt, jak to było w zwyczaju ówczesnych taterników, przewoził ze sobą cały kufer garderoby, aby każdego wieczora po powrocie ze wspinaczki przebrać się w elegancki garnitur miejski i płytke obuwie z szerokimi, wiązanymi w kokardy sznurowadłami. Wyróżniał się tym jaskrawo spośród rezydujących w schronisku taterników, którzy stale paradowali w wyświechtanych na granicę kurtkach, w welwetowych prążkowanych spodniach pod kolana i w sznurowych „kleterkach” na grubych wełnianych skarpetach. Strój ten co prawda stanowił też pewną modę, zwłaszcza gdy noszony na Karpówkach i po kawiarniach wyróżniał taterników od ogółu „ceprów” i „patachów”, ale tym bardziej miejskie zwyczaje Porębskiego na terenie Tatr nie mogły się spotkać z aprobatą.

Te śmieszności bez głębszego znaczenia nie miały jednak żadnego wpływu na jego stosunek do gór. Był on bowiem z krwi i kości taternikiem, który już w wieku szkolnym znawszy rozkoszy w obcowaniu z Tatrą, pozostał im wierny do końca życia. Gdy znalazł się wśród skalnych olbrzymów i pustaci, odpadały od niego mieszczańskie nawyki, a uewnętrzniał się jego szczery entuzjazm dla piękna górskiej przyrody i udzielający się otoczeniu zapał do przezwycięzania alpinistycznych trudności, jego zaś niebywały wigor i humor zamieniał prymitywne bytowanie w Tatrach na czarowną, beztroską bajkę. Promienne spojrzenie jego jasnych oczu, pogodny, nieco śpiewny głos przy komenderowaniu wspinaczką, niewyczerpany dowcip na uśmiechniętych ustach, wreszcie nienaganne w każdej sytuacji zachowanie wobec kobiety — stwarzały idealną dla mnie atmosferę niczym nie krępowanego przeżywania pełną piersią niecodziennych wrażeń, zachwytów i upajających emocji. Sprzyjała temu i moja ślepa ufność w doświadczenie taternicze i sprawność fizyczną mego towarzysza, który zresztą, czując ciężar na nim odpowiedzialność za moje bezpieczeństwo, był podczas asekurowania mnie do przesady ostrożny.

Przewodnictwo Porębskiego miało dla mnie jedną wielką wartość, dominującą nad wszystkimi innymi. Mimo wspomnianej dbałości o moje bezpieczeństwo cechowała go niebywała brawura. Nie uznawał przeszkód, nie dających się zwalczyć. Złą aurę miał zwyczaj „przeformowywać”, wyruszając ze mną nieraz w góry podczas ulewnego deszczu i licząc, że „pogoda się wyrobi” i nazajutrz nastąpi roz pogodzenie, które istotnie jakoś go nie zawodziło. Spóźnioną porą przezwyciężał nadrabianiem czasu szybkim marszem i krótkimi odpoczynkami, a przede wszystkim zawziętym uporem w dążeniu do zamierzonego celu. Nie odstraszało mnie, że lekceważył czasem porę dnia i plan marszrutę, przez co noc zaskakiwała nas nieraz w skale podczas trudnej wspinaczki, że wrota schronisk zastawialiśmy czasem zamknięte wskutek zbyt późnego powrotu, lub że pomysły skracania drogi w ciemnościach graniczyły niemal z samobójstwem. Z każdej trudnej sytuacji znajdował jakieś wyjście i wszystko zawsze musiało się dobrze skończyć, gdy inni opłacali drogę podobne eksperymenty.

A ileż to miało uroku dla młodej dziewczyny, która nie dbała o sławę i o jakość osiągnięć,

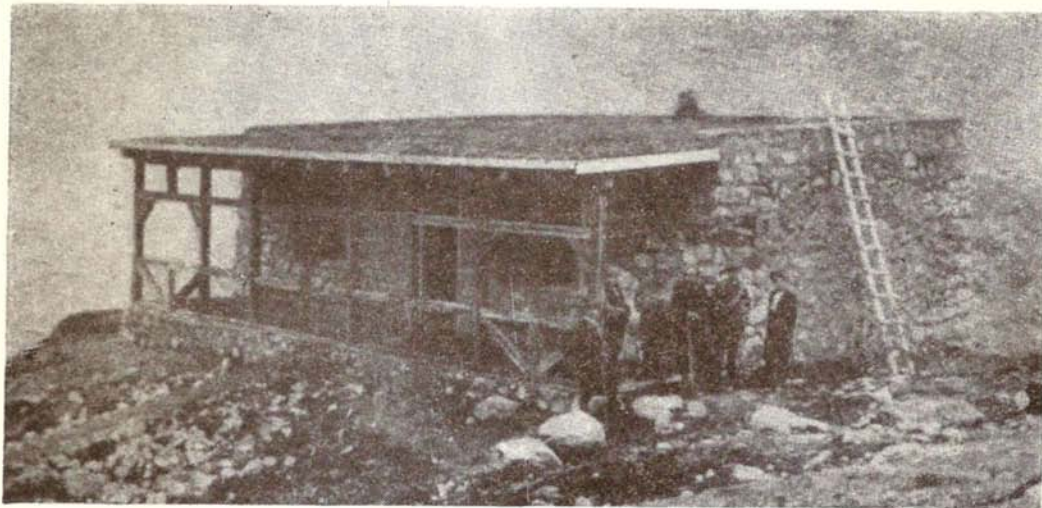
nić, tylko łaknęła niezwykłych przygód! Bo wszakże dzięki nim dopiero można było podpatrywać tajniki najosobliwszych cudów przyrody, nie zawsze dostępne w zrównoważonym taternictwie. Nikt jeszcze w owych latach nie podejmował długich przejść graniami Tatr bez schodzenia na noc do schronisk. Więc tylko ta jego brawura i pogarda dla ryzyka dostarczała mi okazji do niezapomnianych przeżyć.

Na zewnątrz jednak, dla ogółu, wyglądało to zgoła inaczej. Nikt nie doceniał jak wyjątkowo czysty był nasz stosunek do siebie, jako towarzyszy górskich, jak gorliwie strzegliśmy, aby go nie zmąciły żadne doznania, nie mające nic wspólnego z górami i z taternictwem. W oczach świata zaczęliśmy uchodzić za parę wariatów, ryzykujących życie dla przygody. Fakty coraz to nowych szaleństw taternickich, jak schodzenie nocą z Żabiego Konia, albo zjazd w ciemnościach „rysą” z Rysów, który cudem nie skończył się katastrofą, skłoniły starszą część członków Sekcji Turystycznej w osobach Żuławskiego, Kordysa i Zaruskiego do podjęcia kroków celem wyrwania mnie spod wpływu i opieki lekkomyślnego towarzysza, zanim to przypłace życiem.

Zaproszenie mojej matki na zebranie Zarządu Sekcji, aby jej przedstawić niebezpieczną sytuację córki, potem podsuniecie mi nowych wielce atrakcyjnych towarzyszy rozsądniejszej wspinaczki, spowodowały, że zaczęłam chodzić w góry z innymi i wymykać się spod

supremacji taternickiej Porębskiego. Na tym tle nie trudno było o nieporozumienia i rozdzźwięki. Aż w końcu zagadkowa przygoda z liną w południowej ścianie Zamarłej Turni, uniemożliwiwszy mi dokonanie tej tury, przez Porębskiego solennie mi obiecywanej, spowodowała zerwanie naszej wspólnoty taternickiej. Reszty naszego rozdziału dokonało potem życie, które każde z nas odciągnęło w inną stronę i potoczyło się odrębnymi torami. Mnie zresztą oderwały od Tatr ciężkie przeżycia osobiste i przewlekłe choroby, potem wybuchła pierwsza wojna światowa. Gdy po jej ukończeniu, odzyskawszy zdrowie powróciłam do Tatr i do wspinaczek, Porębski oddalił się zupełnie od świata taternickiego, wystąpiwszy z Sekcji wskutek konfliktu z jednym z jej członków, i nigdy już do tej organizacji nie powrócił. Nie znaczyło to jednak, aby zerwał z Tatrami. Chodził po nich nadal z niesłabnącym zapałem, choć może pod innym kątem zainteresowania. Pęd zdobywczy zastąpiła w nim wzrastająca pasja pokazywania gór innym, przy czym dawna lekkomyślność zmieniła się w spokojną rozagę i poczucie odpowiedzialności.

Natknęliśmy się na siebie dopiero po ośmiu latach od czasu rozstania, zgoła przypadkiem, na terenie Warszawy. Była to pamiętna dla nas chwila. Nie poruszaliśmy dawnych rozdzźwięków. W perspektywie oddalenia, w obliczu nowych przeżyć i wielkiej wagi wypad-



W Dolinie Staroleśnej przed „Trupiańnią” we wrześniu 1909 r. Od lewej: Włodzimierz Jodkowski, Władysław Jankowski, Janusz Chmielowski, Józef Jankowski, Stanisław Porębski, Jadwiga Baraniecka
Fot. Jerzy Żuławski

ków politycznych były one mało ważne. Zresztą byliśmy już innymi ludźmi. Zapragnęliśmy jednak wznowić dawne braterstwo liny. Znalazłszy się razem w Tatrach, zrobiliśmy kilka interesujących wspinaczek. Lecz każde z nas posiadało wówczas własną rodzinę, osobiste strapienia i odmienne zainteresowania, odciągały nas od gór liczne obowiązki. To już nie było tamto bez troskie bujanie w obłokach marzeń po bezańskiej dziedzinie. W owym czasie za to mogłam się przekonać, jak wartościowym człowiekiem był Stanisław Porębski. Spiesząc z pomocą niejednemu z taterników, wykończonych wojną, umiał i mnie okazać bezinteresowną przyjaźń. W ciężkich dla mnie opresjach mogłam się oprzeć na jego wnikliwych radach i wskazówkach, na jego niezwyklej uczynności. I przyjaźń nasza przetrwała lata.

Z chwilą wybuchu drugiej wojny straciłam go znowu z oczu na lat kilka. Zaciągnął się do służby Ojczyźnie, jako kapitan rezerwy, a po klęsce losy zagnały go do Rumunii, gdzie przebył do końca wojny, zarabiając na życie dawaniami lekcji języków. Gdy powrócił do Polski, czekały go liczne zmartwienia. Nie znalazł już przy życiu jedynego syna, straconego w Oświęcimiu; w domu zatłoczonym obcymi lokatorami zastał choroby i kłopoty. Pragnąc zużytkować swe doświadczenie przemysłowe, próbował zahaczyć się tu i tam, ale bez powodzenia. W końcu zrezygnował ze wszystkiego i zaprzął się do pracy biurowej.

A miał on w zaraniu życia zgoła inne marzenia. Między innymi chciał zostać literatem i próbował swych zdolności na łamach „Taternika”; czytywał mi też w schroniskach swoje pierwsze utwory. Lecz odziedziczenie dochodowego przedsiębiorstwa jego ojca pchnęło go na drogę handlową, a potem szukał ekspansji dla swej energii w przemyśle. Jego zainteresowania wybiegały jednak daleko poza ramy uprawianego zawodu. Do końca życia otaczał się książkami, interesując się polityką i filozofią.

Szarzyznę ostatniego okresu życia umiał sobie prowadzeniem w Tatrach wycieczek cudzoziemskich. To zaspokajało jego głód gór. Chodził też i dla siebie, powtarzał dawne tury, ciesząc się długo doskonałą kondycją. Byliśmy też znowu we dwoje parę razy w górach. Smutek przesłaniał nasze spojrzenie w tatrzańskie

świat. Każde z nas dźwigało swoją własną, choć tę samą tragedię — utraty jedynego syna.

Przed kilkoma laty wciągnęłam go do organizowanych przeze mnie po drugiej wojnie „spotkań dawnych taterników”. Gdy zjawił się między nimi po kilkudziesięciu latach, wszyscy witali go jak najserdeczniej. Jakże blahe wydały się dawne krytyki pod jego adresem wobec tego, że całym swym życiem wykazał, kim był w istocie: prawym, szlachetnym człowiekiem o głębokim poczuciu swoich obowiązków i o wysokiej kulturze współzycia, przykładnym ojcem, mężem i bratem, najlepszym kolegą i niezłomnym Polakiem.

Ostatniej swojej wycieczki w Tatry w połowie września 1960 dokonał w moim i prof. Z. Klemensiewicza towarzystwie. Celem jej było powitanie po kilkudziesięciu latach przez polskich taterników przybyłego w Tatry Słowackie dawnego węgierskiego członka Sekcji Turystycznej, Gyuli Komarnickiego.

Staś Porębski czuł się wtedy niedobrze i podjęcie tej tury stanowiło u niego pewien wysiłek woli. Lecz sam pragnął iść z nami i dziękował mi, że tę wyprawę zorganizowałam. Może przeczuwał, że to jego ostatnia okazja znalezienia się w Tatrach? Nikt z nas nie podejrzewał, że nasila się w nim i komplikuje poważna choroba i że za parę tygodni życie zakończy.

Podczas swych ostatnich dni, spędzonych w szpitalu krakowskim, trawiony gorączką, miał ciągle przed sobą wizję Tatr. W malignie wybierał się w góry i kazał sobie pomagać w przygotowywaniu się do wymarszu, a podczas zapadania w sen wykonywał z natężeniem w twarzy dziwne ruchy rękoma, jakby szukał chwytów i wspinał się po skale. W przeddzień śmierci, odzyskawszy na jakiś czas przytomność, po załatwieniu spraw rodzinnych zaczął mówić spokojnie: że Tatry były najpiękniejszą kartą jego życia; że dla nich warto byłoby urodzić się raz jeszcze; że nic w świecie nie dorównywa tym najszczęśliwszym chwilom spędzonym w górach.

Tak umierał rasowy taternik.

Jadwiga Roguska-Cybulska

Zakopane, styczeń 1961.

Taternicy współcześni

(ciąg dalszy

— ale zakończenie musi dopiero nastąpić)

Przypatrując się temu, co nosi miano współczesnego taternictwa i polskiego alpinizmu, można zauważyć, że w podejściu do wielu spraw dotyczących tej dziedziny brak jest realizmu, a nawet niekiedy zwykłego zdrowego rozsądku.

Trudno wymagać — powiecie — zdrowego rozsądku od taternika, który dla zaspokojenia swoich pragnień nie tylko naraża własny i cudzy kark, ale również sam sobie narzuca niepokój, trudy, walkę i niemałe koszty. To prawda, że wśród czynnych „dołów”, goniących za przygodą, sławą i rekordem, często podporządkowujących własnej ambicji obowiązujące zasady (i niekiedy etykę) nie należy szukać rozsądku, ale są przecież władze klubowe, wśród których zasiadają ludzie ze wszelkich miar godni szacunku, już zrównoważeni, czujący ciężar odpowiedzialności za tę arcypiękną zabawę w obliczu wieczności.

A oto dowody na brak rozsądku we współczesnym taternictwie. § 2 statutu KW głosi: „Zadaniem Klubu jest prowadzenie działalności taternickiej itd. przez popieranie, ułatwianie i organizowanie działalności sportowej, szkoleniowej i turystycznej członków Klubu itd.”. A tymczasem:

1. Nikt nie ponosi choćby częściowej odpowiedzialności za tragiczne wypadki zrzeszonych członków — nawet gdy zdarzyły się na organizowanych obozach i wyprawach.

2. Około 90% członków posługuje się sprzętem niekompletnym i przestarzałym.

3. Organizacja obozów i wypraw budzi wiele zastrzeżeń zarówno pod względem technicznym, jak i etycznym.

4. Bezinteresowność niektórych garnących się do władz klubowych nie jest przekonywająca.

5. Zasady, przepisy i etyka nie są przestrzegane.

6. Przepisy uprawiania wspinaczki są przestarzałe i nie mają praktycznego znaczenia.

7. Ze środków, pomocy i opieki Klubu korzysta jedynie 10—20% zrzeszonych.

Sprawy te są od dawna znane zarówno ogółowi, jak i kierownictwu; mówi się o nich i pisze, powstają komisje, podkomisje i podpodkomisje, a sytuacja ulega ciągle pogorszeniu. Coś jakby paraliż postępowy uniemożliwiał wszelką naprawę tego tajemniczego zjawiska, jakim jest alpinizm.

Należałoby zgodnie z tradycją zacząć naprawę od sformułowania nowych „głębszych wartości”, które są (albo byłyby) bodźcem

wiodącym współczesnych taterników na skalne przewieszki. Nie siląc się zresztą na rzekomą oryginalność, bo tak jak drogi w Tatrach można już tylko powtarzać, tak i w taternickim filozofowaniu wszystko zostało już powiedziane. Nie martwiąc się więc, czy to już było napisane (odnosi się to i do reszty niniejszego artykułu), stwierdzić należy, że współczesny taternik nie naraża się dla „głębszych wartości”, natomiast między innymi wiemy, że:

a. wspinaczka rozwija mięśnie,

b. przezwyciężanie strachu wytwarza zaufanie do siebie,

c. przebywanie w niebezpieczeństwie pozwala zrozumieć cenę życia,

d. wspinaczka uczy opanowania i ostrożności — a to już są pewne wartości przemawiające za popieraniem tego sportu.

Przyczyny uprawiania taternictwa są dzisiaj nie „głębsze” niż dawniej, lecz całkiem „płytkie” — i żadne pisanie ich nie zmieni. Dlatego nie czas jest nad nimi się zatrzymywać; należy raczej zająć się skutkiem, bo jakże często jest opłakany.

Dotychczasowa idea taternictwa jako sportu nie krępowanego, bez reguł i przepisów, opartego na dobrej woli i dobrych chęciach członków Klubu, na ich uczciwości i prawdomówności, wreszcie na ich odpowiedzialności za życie własne i towarzyszy — nie wytrzymuje naporu nowych czasów i nowych ludzi wyrosłych w innych warunkach i inaczej rozumiejących te pojęcia. Poza tym zmienił się rząd wielkości tego zagadnienia. Gdy rodziły się obowiązujące do dziś tradycje, taterników liczyło się na dziesiątki, a dzisiaj jest ich w Polsce ponad tysiąc. Zmiany ilościowe pociągają za sobą (jak wiemy) zmiany jakościowe; średnia poprzednio wyrubowanego poziomu moralnego obniża się odwrotnie proporcjonalnie do ilości członków.

Ludzi szybko się nie wychowa, a jeżeli Klub ma ponosić jakąś odpowiedzialność, musi zwiększyć wymagania i dyscyplinę klubową. Wiadomo, że masą kieruje się inaczej niż jednostkami, a jakoś nikt się nie kwapi do reform, choć czas jest już wielki.

Zmienić zasady ugruntowane wieloletnią tradycją, dające prawie nieograniczoną swobodę członkom Klubu, jest sprawą niezmiernie trudną, niepopularną i ryzykowną. Przyjmując jednak założenie, że nowe powinno wyrastać ze starego, proponuję spokojnie przejrzeć statut KW: czy jego założenia są stoso-



wane w działalności organizacyjnej i sportowej; czy niektórych sformułowań nie należałoby rozszerzyć lub zmienić, zgodnie z wysuniętym już hasłem: „więcej realizmu”.

Weźmy więc statut do ręki i zaczynamy. Celów i zadań Klubu nie potrzeba chyba zmieniać, o ile pragniemy uniknąć teoretyzowania. Należy tylko przypomnieć Zarządowi Głównemu i pozostałym władzom klubowym, że na czoło zadań są wysunięte sprawy taternicze w Tatrach, a dopiero na drugim miejscu popieranie i ułatwianie wyjazdów zagranicznych. Tymczasem w pogoni za sukcesem zapomnieliśmy, że 80% członków nie wyjeżdżało i nie wyjedzie nigdy na wyprawę zagraniczną i że im Zarząd Główny musi poświęcić więcej środków i więcej uwagi.

Do zadań Klubu należałoby włączyć jeszcze jedno, traktujące o „wysiłkach dla zapewnienia bezpieczeństwa wspinaczom”.

Większych rozważań i korekty wymaga rozdział III, mówiący między innymi o przyjmowaniu członków. O niewłaściwej „gospodarce kadrami” słyszy się coraz głośniej. Po pierwsze, od czasów powstania tradycji KW PTT zmienił się rząd wielkości tego zagadnienia; po drugie, przeciętny poziom techniczny taterników podniósł się ze stopnia „trudny” do stopnia „nadzwyczaj trudny”. Wzrósł więc czynnik niebezpieczeństwa i żeby zagrożenie nie wzrosło trzeba podnieść poziom wyszkolenia członków, a ograniczyć stopień trudności przebywanych dróg, np. do „bardzo trudnego” przy wykonywaniu samodzielnych przejść członka uczestnika (trudniejszych dróg nie zaliczać, albo karać ich przejście dyscyplinarnie).

Warunkiem przyjęcia na członka zwyczajnego powinno być świadectwo ukończenia kursu zimowego stopnia III, odpowiednia ilość przejść (większa niż dotychczas), a może nawet egzamin teoretyczny i praktyczny, jak w szybownictwie i żeglarstwie (dla członka uczestnika obowiązywałby kurs stopnia II).

Taki „wyzwolony” taternik otrzymywałby „patent” na prowadzenie zespołu, jednak jeszcze z pewnym ograniczeniem stopnia trudności do czasu wykazania się stażem, np. 100 godzin na drogach częściowo bardzo trudnych.

W § 10 o obowiązkach członka trzeba wyraźniej sprecyzować dyscyplinę klubową; szczególnie etyka taternicka jest strasznie mglista i rozmaicie interpretowana. Ważniejsze jest jednak konsekwentne przestrzeganie przez władze kół ustalonych zasad, np. na początek pozbycie się „martwych dusz” nie płacących składek i nie przychodzących nawet na walne zebrania. Taka decyzja bardzo wzmocniłaby życie klubowe.

Ostatnią z głównych bolączek Klubu jest p. 4 § 26 rozdziału VI, który ze względu na jego wagę przytaczam:

„Klub prowadzi gospodarkę sprzętową mającą na celu zaopatrzenie w sprzęt specjalny członków Klubu i imprez organizowanych przez Klub”. Tyle w statucie o sprzęcie i do tego „specjalnym”. Rozesłany zarządom kół regulamin Referatu Sprzętowego Kół KW poleca im „organizowanie i wyszukiwanie możliwości zaopatrywania członków koła w sprzęt” itd., a dalej p. 3 stwierdza: „Referat zaopatrzuje w sprzęt organizowane przez koło wyprawy i oboz... w oparciu o: a) magazyn sprzętu, b) specjalne zamówienia”. Jest też mowa o wypożyczaniu sprzętu członkom koła.

Słowem, wszystko jest napisane jak należy. A rzeczywistość? Nie wiem jak wygląda wyposażenie wypraw zagranicznych Klubu, każdy z nas jednak widzi jak te sprawy wyglądają w Tatrach.

Pierwsze stwierdzenie: bez nowoczesnego

sprzętu nie ma bezpiecznej wspinaczki, szczególnie w zimie. Tymczasem większość taterników, i to zarówno indywidualnych jak i uczestników obozów, posiada sprzęt sprzed II i nawet I wojny światowej, a zimowego praktycznie nie ma wcale.

Drugie stwierdzenie: młody współczesny taternik nie ma za co kupić porządnego nowoczesnego sprzętu letniego, nie mówiąc już o sprzęcie zimowym i biwakowym.

Trzecie stwierdzenie: w Polsce nie produkuje się sprzętu taternickiego dostatecznej jakości, nie ma nawet odpowiednich butów i rękawic, nie ma też nowoczesnego sprzętu asekuracyjnego.

Trzeba wprowadzić ratalną sprzedaż sprzętu, którego koszt w połowie pokrywałby Klub. Należy stworzyć wypożyczalnię sprzętu za opłatą pokrywającą koszt konserwacji i magazynowania. Potrzebne fundusze i dewizy uzyskać trzeba z zawieszenia na okres tylko paru lat wypraw zagranicznych. Rząd pilności

na pewno jest taki: najpierw sprzęt dla taterników, a następnie sukcesy za granicą.

Reasumując, trzy sprawy wydają się najpilniejsze do załatwienia:

1. zaopatrzenie taterników w odpowiedni sprzęt;
2. podwyższenie wymagań przy przyjmowaniu nowych członków;
3. jak najpoważniejsze traktowanie szkolenia taternickiego, a bez ukończenia kursu II stopnia (ewent. zdania egzaminu II stopnia) nie powinno się „wyzwalać” na członka uczestnika, zaś bez stopnia III zimowego na członka zwyczajnego.

Jako rozpoczęcie prac nad unowocześnieniem organizacji naszego taternictwa proponuję zwołać w Tatrach pod namiotami sejmik taternicki, na który będzie mógł każdy taternik przyjechać i zabrać głos lub przedłożyć na piśmie swoje uwagi w sprawie naprawy polskiego taternictwa.

Janusz Flach

Materiały do historii taternictwa

XXXV. W Tatrach przed 113 laty

Historyk literatury zapytany, kim był Teodor Tripplin, odpowiada zwykle, że był to dziwnie nastawiony powieściopisarz, autor powieści fantastycznych i podróżniczych. Zapytany o to samo taternik, odpowiada zwykle, że nazwisko to jest mu obce. Nie ma w tym fałszu nie dziwnego. Teodor Tripplin (1813–1881) był bowiem pisarzem miernym i twórczość jego nie posiada takich wartości, które pozwoliłyby na wyniesienie go do rzędu wybitniejszych jednostek swej epoki. A jednak warto wydobyć tę postać z zapomnienia, jest bowiem Tripplin autorem wcale interesującego napisanego opisu wycieczki tatrzańskiej, odbytej przezeń w r. 1848. Opis ten, to „Wycieczki po stokach węgierskich i galicyjskich Tatrów”, wydane w dwóch tomach w Warszawie w r. 1856.

Jest rzeczą uderzającą, że Tripplin chciał odbyć swą tatrzańską wycieczkę w sposób odmienny, niż to czynili jego romantyczni poprzednicy. Píše o tym: „Chciałem je widzieć z bliska jeszcze śniegiem pokryte, potem topniejące, nareszcie otulające swe stopy szmaragdowym płaszczem i rozkwitające młotami kwiatów; dlatego też wybrałem się w podróż już w pierwszej połowie miesiąca maja, kiedy jeszcze ostra zima trwa na szczytach Tatrów

i umyśliłem pozostać w ich bliskości, ale na różnych miejscach z miesiąca cały, może i więcej, aby się na całe życie nasycić powabem, którego używać od tak dawna pragnąłem” (t. I, s. 6).

Wyprawa podjęta przez podróżnika została jednak uznana za niezwykle trudną i niebezpieczną, toteż Tripplin miał duże trudności z dobraniem sobie towarzysza podróży; nie znalazł go nawet wśród akademików Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy „rzadko kiedy, albo nawet nigdy nie puszczali się w góry Karpackie” (tamże, s. 3). Ruszył więc w podróż sam, dobrze już znaną trasą, by poprzez Podgórze, Swoszowice, Myślenice, Mszanę i Klikuszową dotrzeć do Harklowej, gdzie został gościnnie przyjęty przez łcie sarmackich gospodarzy pp. Krobickich.

Tam, prócz wyborczego węgierskiego wina, rzuciła się w oczy Tripplina Cisowa Skała, o której ucinny gospodarz mówił mu: „To tylko wiemy, że głąz Cisawą zwany, który mchem porosły opisał śp. minister Staszyc, bawiąc przed czterdziestoma kilkoma laty tu w Harklowu u mego dziada, ten głąz już dzisiaj krzewioną pokryty tak mocno, że chwytając się jej gałęzi można się wdrapać na szczyt, który tenże pan minister za niedostępny uważał”. (Tamże, s. 75).

Wreszcie po kilku tygodniach oczekiwania udał się Tripplin w towarzystwie syna Krobickich w dalszą podróż. W Szaflarach na jego przewodnika Nikodema Krzywowczyka, od którego dowiedział się, że od dwóch lat (od r. 1846) nikt stron tych nie zwiedzał.

By napatrzyć się Tatrom pojechano drogą okrężną, wiodącą przez Chocholów, Dzianisz, Kościelisko, Zakopane i Bukowinę do Morskiego Oka. To ostatnie uczyniło na podróżniku wielkie wrażenie, a szczególnie Mnich przykuł do siebie oczy wędrowca. Ciekawa też jest uwaga, jaką o owym szczycie uczynił pisarz. Oto pisze on, że „od strony południowej można jednakże z niesłychanym wysiłkiem dojść aż na wierzchołek Mnicha i siedząc na jego głowie używać nie wypowiadanie pięknego widoku” (tamże, s. 147). Sam Tripplin nie podjął jednak próby osiągnięcia szczytu Mnicha.

Głos Tripplina twierdzący, że Mnich jest turnią osiągalną, nie jest w tej epoce odosobniony. Oto przeglądając pamiętniki Bogusza Zygmunta Stęczyńskiego natrafiamy w nich na następujące zdanie: „Po prawej stronie Morskiego Oka wznosi się skała Mnichem zwana, wysokością swą ledwie trzeciej części innych gór sięgająca, po której z narażeniem życia wychodzi się do wierzchu

6564 stóp wyniosłego, tam napatrzywszy się czarujących wdzięków niepospolitego jeziora i skałom w zupełnie innej postaci, zniżałem się wąską i wielce niedogodną ścieżką, potem kierowałem moje kroki do Doliny Pięciu Stawów" (B. Z. Stęczyński: „Wspomnienia malowniczo-histerycznych przechadzek... odbytych w 1845 roku", rękopis w zbiorach Muzeum Tatrzańkiego w Zakopanem, s. 55).

Obie cytowane wyżej wypowiedzi są rewelacyjne, trudno jednak uznać je za prawdopodobne. W latach czterdziestych ubiegłego wieku zdobycie Mnicha leżało — w świetle znanych nam faktów — daleko poza możliwościami ówczesnych taterników; ponadto Tripplin miał w kołach historyczno-literackich opinię blagiera, jego więc świadectwo nie może być użyte jako wiarygodne. Natomiast Stęczyński podróżując po Tatrach w latach 1845—1851 miał na swoim koncie tak poważne wejścia, jak pokonanie Miedziańskich Ławek, możliwe więc jest, że podjął on próbę zdobycia Mnicha. Wypowiedź jego jednak nie stanowi dostatecznego dowodu, pozwalającego na stwierdzenie, czy osiągnął on jego wierzchołek. A jednak są obie te wypowiedzi niezmiennie charakterystyczne z tego

względem, że stanowią zapowiedź nowego, atakującego coraz trudniejsze szczyty, sportowego niemal taternictwa.

Ale podróż tatrzańska Tripplina nie skończyła się na rozważaniach nad możliwością zdobycia Mnicha. Następnego dnia po przyjeździe do Morskiego Oka dokonał on wejścia na wierzchołek góry nazwanej przezeń Siwarnią, pod którą należy rozumieć najprawdopodobniej Miedzianę. Warto tu zwrócić uwagę na doskonały ekwipunek, w jaki byli wyposażeni ci dziewiętnastowieczni taternicy: „Ze szczytu góry Siwarni, na który wdrapaliśmy się z niesłychaną trudnością" na czworakach, okute mając w żelaza obuwie, widok tak pyszny, żeśmy przestali żałować doznanych znojów" (tamże, s. 153—154). Działo się to dnia 17 czerwca 1848 r., kiedy niektóre stawy tatrzańskie były jeszcze lodem pokryte (tamże, s. 156).

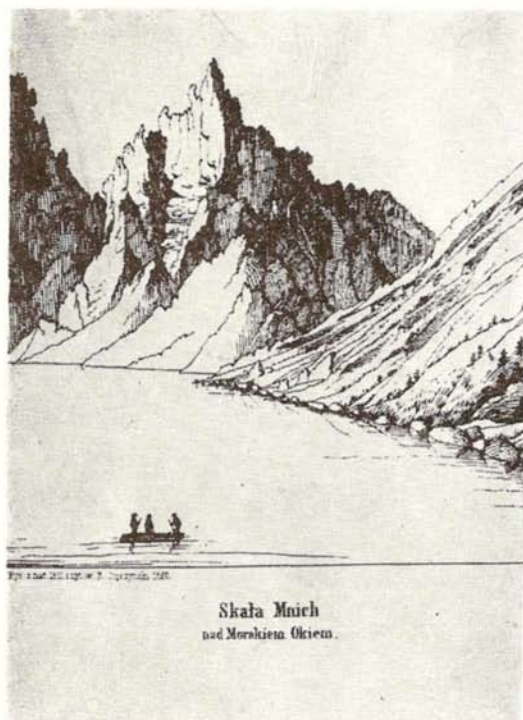
Zejście odbyło się najprawdopodobniej przez Szpiglasową Przełęcz, gdyż Tripplin pisze o własnościach uzdrawiających capiego korzenia (koźłowca), zbieranego przezeń na pd. stoku Mnicha. Dalszym tatrzańskim wyczynem Tripplina było wejście na Czerwone Wierchy, po czym udano się do

Harklowej, by przygotować się do wyprawy na Łomnicę. Odbyto ją drogą przez Łomnickie Ramię z romantycznym noclegiem przy Łomnickim Stawie.

Te trzy wejścia szczytowe pozwoliły Tripplinowi na stwierdzenie, że poznał Tatry, co było objawem charakterystycznym dla wieku XIX. Podobnie bowiem pisał nieznany nam autor opisu wycieczki w Tatry z r. 1853, który po przejściu przez Zawrat i Świstówkę do Morskiego Oka oraz po wejściu na Giewont stwierdził: „I ja poznałem nasze góry" („Opis podróży do Tatrów Galicyjskich odbytej w 1853 roku", Pokłosie t. VI, Poznań 1882, s. 65). Ale Tripplin wyróżnia się tym, że podróż podjął tak wcześnie jak nikt dotąd, że w wejściach posługuje się poznanym na Zachodzie sprzętem, że patrzy na Mnicha nie z lękiem, ale z świadomością, iż jest to turnia do zdobycia.

Jacek Kolbuszewski

Przypisek Redakcji. Z powyższą rozprawką łączy się ściśle następna, która na niektóre omówione wyżej sprawy wyraża poglądy odmienne.



Skala Mnich
nad Morskiego Oka.

..... Mnich, przeraźliwie do nieba od ziemi
Wydźwignął się ponuro grapami brudnemi;
Jest-to skała szczególna, obszerna i tęga,
Zaledwie trzeciej części wyższych skał dosięga;
Jest-to olbrzym dziwaczny, choć postawy mniszej
Nie przybrał podobieństwa w światobliwej czyszy,
Stoi sobie — a przez swą szyję i ramiona
Zbliża się podobieństwem do słupów Memnona,
I grozi ci nad głową..."

(B. Z. Stęczyński:
Tatry w dwudziestu czterech obrazach.
Kraków 1860, str. 99)

XXXVI. Kiedy zdobyto Mnicha?

Dobrze, że Jacek Kolbuszewski (patrz wyżej s. 79) przypomina mało znaną szerszemu ogółowi książkę tatrzańską Teodora Triplina, a taterników niewątpliwie zainteresuje twierdzenie Kolbuszewskiego o zdobyciu czy próbie zdobycia Mnicha nad Morskim Okiem przez Zygmunta Bogusza Stęczyńskiego już w r. 1845, gdyż dotąd uważa się powszechnie, że Mnich został zdobyty po raz pierwszy dopiero w r. 1879 lub 1880 przez Jana Gwalberta Pawlikowskiego z przewodnikiem Maciejem Sieczką.

Czy jednak Kolbuszewski ma rację twierdząc, że Stęczyński, jeżeli nie osiągnął samego wierzchołka Mnicha, to przynajmniej podjął próbę jego zdobycia? I czy możemy się zgodzić, że cytowane przez Kolbuszewskiego wypowiedzi Triplina i Stęczyńskiego „stanowią zapowiedź nowego, atakującego coraz trudniejsze szczyty, sportowego niemal taternictwa”? Zdobycie Mnicha przez Pawlikowskiego i Sieczkę stanowi — jak wiadomo — datę przełomową w rozwoju taternictwa, przyjęcie więc wniosków Kolbuszewskiego zmusiłoby historyków taternictwa do dość daleko idącej rewizji dotychczasowych poglądów na dzieje taternictwa w XIX stulecie.

Dlatego więc twierdzeniami Kolbuszewskiego należy zająć się nieco bliżej, tym bardziej że pojawiające się już na wiele lat przed r. 1879 wzmianki o wejściu na Mnicha budziły od dawna zaciekawienie, ale były na ogół odrzucane jako nieprawdopodobne. Któż więc ma rację? Czy Kolbuszewski (który cytuje nowe materiały w tej sprawie) i inni, którzy dają większą lub mniejszą wiarę wypowiedziom sprzed roku 1879, czy też ci, którzy je odrzucają?

Trzeba przede wszystkim zaznaczyć to, czego Kolbuszewski zdaje się nie wiedzieć, mianowicie że wzmianka o wejściu na Mnicha pojawia się w polskiej literaturze po raz pierwszy bynajmniej nie u Stęczyńskiego (r. 1845). Już bowiem np. w zeszytach XII „Galicji w obrazach”, wydanej we Lwowie u Piotra Pillera przed r. 1839 (w r. 1838?), czytamy na s. 63 o Mnichu: „Od strony południowej można jednakowoż dojść aż do wierzchołka, skąd się nie do opisanie cudny widok odkrywa”.

Natomiast Seweryn Goszczyński, pisząc z okazji wycieczki w Tatry w r. 1832 o przejściach z Doliny Pięciu Stawów Polskich do Morskiego Oka, podaje: „Najbliższą drogę mieliśmy przez górę Mnich zwaną, przy której podnóżu, po drugiej stronie Morskie leży Oko;

ale taka przeprawa nie dla nas: samo wejście na owe nagie, podniebne skały, już nam odbierało ochotę doświadczać naszej głowy i zręczności nóg” („Podróż do Tatrów” w Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności, Kraków 1835, tom I, s. 51–71, cyt. za s. 69 i podobnie w późniejszych wydaniach fragmentów czy całości „Dziennika podróży do Tatrów” Goszczyńskiego).

W swym krytycznym opracowaniu „Dziennika podróży do Tatrów” z r. 1958, Stanisław Sierotwiński słusznie komentuje (na s. 203), że w cytowanym wypadku chodzi Goszczyńskiemu o przejście przez Szpiglasową Przełęcz i Dolinę za Mnichem. O tym samym przejściu Maria Steczkowska wyraża się (w swych „Obrazkach z podróży do Tatrów i Pienin”, Kraków 1858, na s. 80) w sposób dla dzisiejszego czytelnika już bardziej zrozumiały: „stroma, piramidalna, zupełnie naga skała... zwana Mnich, poza którą jest także przejście do Pięciu Stawów”.

Nie będę tu przytaczał z dawniejszej literatury licznych przykładów stosowania nazwy Mnich nie dla turni, która ją dziś nosi, lecz na oznaczenie Mieguszowieckiego Szczytu, Cubryny, lub zgoła całego grzbietu górskiego ponad Doliną za Mnichem, natomiast przypominę, że najwcześniejsza wzmianka o wejściu na wierzchołek Mnicha pojawiła się chyba w książce Christiana Genersicha „Reise in die Carpathen” (Wien und Triest 1807, na s. 232): „der sogenannte Mönch (Mnjch), ein hoher Thurm, den man von seinen hintern Absätzen, bis auf seinen Gipfel ersteigen kann”.

Po zestawieniu powyższych danych i po przypomnieniu sobie opisów innych wycieczek tatrzańskich tychże autorów (lub innych, im współczesnych), nie trzeba już chyba szczegółowych roztrząsań, by dojść do następujących stwierdzeń i wniosków:

1. W pierwszej połowie XIX stulecia nazwa Mnich (po niemiecku Mönch) oznaczała u różnych autorów lub nawet w różnych publikacjach jednego autora: a) turnię Mnich (2068 m) nad Morskim Okiem; b) Mieguszowiecki Szczyt; c) Cubrynę; d) cały grzbiet nad Doliną za Mnichem lub jego różne odcinki, np. Miedziane (stąd przejście przez Szpiglasową Przełęcz określano też jako przejście przez Mnicha); e) różne turnie i szczyty w innych częściach Tatr.

2. Pojawiające się w starszej polskiej literaturze wzmianki ogólni-

kowe, że można wejść na Mnicha mają zdaje się wszystkie swe źródło — bezpośrednie lub pośrednie — w cytowanej książce Genersicha (np. „Galicja w obrazach” chyba wprost od Genersicha, a Triplin — jak świadczy o tym różne szczegóły jego tekstu — za pośrednictwem tej ostatniej).

3. Jest rzeczą oczywistą, że twierdzenie Genersicha, jakoby można było wejść na wierzchołek Mnicha, nie jest oparte na jego własnym doświadczeniu, lecz stanowi jedynie powtórzenie zasłyszanej wiadomości (i to być może źle zrozumianej), a poza tym czyż w owych czasach dojście pod sam blok szczytowy Mnicha, np. na Wyżnią Mnichową Przełęczkę, nie mogło być określone jako wejście na Mnicha? Musiałoby tak być skoro u Genersicha nie ma ani słówka o trudnościach tej drogi, a przecież na tejsze strony swej książki określa on zejście ze Szpiglasowej Przełęczy do Pięciu Stawów następująco: „mit vieler Mühe und grosser Gefahr”.

4. Stęczyński (patrz pełny cyt. u Kolbuszewskiego) wprawdzie pisze w odniesieniu do Mnicha, że „z narażeniem życia wychodzi się do wierzchu 6564 stóp wyniosłego” (jest to rzeczywiście wysokość Mnicha), ale zarazem dodaje przecież: „tam napatrzysz się czarujących wdzięków niepospolitego jeziora i skałom w zupełnie innej postaci, zniżałem się wąską i wielce niedogodną ścieżką...”.

Ścieżką z wierzchołka Mnicha? I dokonał wejścia (na Mnicha) trudniejszego co najmniej o trzy stopnie nowoczesnej skali taternickiej od wszelkich innych przebytych przez siebie dróg tatrzańskich? I zbywa opis wejścia na Mnicha jedynie słowami „z narażeniem życia”? I to Stęczyński, który przejściu do Pięciu Stawów przez Świątówkę na Opalone poświęca w swym poemacie przeszło pół strony groźnego opisu i odpowiedni rysunek na osobnej tablicy? Dodajmy, że w swym obszernym — ba! rozwlekłym — poemacie tatrzańskim z r. 1860 Stęczyński już ani słówkiem nie wspomina jakoby wszedł na Mnicha.

Myślę, że jedyną rozsądną rzeczą jest przyjąć, że dając w r. 1845 wzmiankę o wejściu na Mnicha Stęczyński albo powtarzał jedynie zasłyszane lub przeczytane wiadomości, albo też miał wówczas na myśli — mimo podania prawdziwej wysokości tej turni w stopach — nie sam wierzchołek Mnicha, lecz jego zbocza, co najwyżej Mnichowe Plecy, albo zgoła Szpiglasową Przełęcz.

Po przeczytaniu opisu przejścia przez Swistówkę spod pióra Stęczyńskiego, łatwo zrozumieć, że dojście na Mnichowe Plecy lub na Szpiglasową Przełęcz uznał ten poeta, chodzący po Tatrach w surducie i cylindrze (patrz jego rysunki!), za narażające życie, podobnie zresztą jak o przejściu przez Szpiglasową Przełęcz („przez górę Mnich zwaną“) wyraził się również i Goszczyński, a jeszcze wcześniej Genersich.

*

Nie! Laurów dokonania pierwszego wejścia na Mnicha (2068 m) nie będziemy odbierać Pawlikowskiemu i Sieczce. N'e ma też potrzeby poddawać rewizji nasze dotychczasowe poglądy na rozwój

taternictwa w XIX stuleciu. Stęczyński ani nie był na Mnichu, ani nawet nie myślał o podjęciu próby jego zdobycia. A Tripplin zadowolili się powtórzeniem przeczytanej wiadomości o rzekomych możliwościach wejścia na Mnicha i opisem własnego wejścia na górę Siwarcia (Miedziane?), ale nawet nie mamy pewności, czy był tam rzeczywiście, bo wiadomo przecież, że przy biurku komponował on niejedną swą przygodę. Dlatego też cały opis podróży tatrzańskiej Tripplina trzeba traktować bardzo krytycznie (por. zresztą uwagi o Tripplinie niżej, na s. 84).

Warto jeszcze dodać parę słów na temat innego jakoby wyczynu taternickiego Stęczyńskiego: „Stęczyński podróżując po Tatrach w

latach 1845—1851 miał na swoim koncie tak poważne wejścia, jak pokonanie Miedzianych Ławek“ (patrz wyżej u Kolbuszewskiego). Tu znowu kwestia sprowadza się do znalezienia odpowiedzi na pytanie, co Stęczyński rozumiał przez nazwę Miedziane Ławki, a tej sprawy Kolbuszewski nie wyjaśnia, choć miał dostęp do rękopisu, gdzie o tym wejściu mowa.

Z rozstrzygnięciem, czy Stęczyński był w ogóle taternikiem (choćby w swych zamierzeniach) musimy więc poczekać do chwili krytycznego opracowania rękopisu o jego „malowniczo-historycznych przechadzkach... odbytych w 1845 roku“, jednakże nie wydaje się, aby znalazły się tam jakieś rewelacje taternicze.

W. H. Paryski



Mnich, Mniszek i Mnichowa Kopa od strony Doliny za Mnichem (z Ciemnosmreczyńskiej Przełęczki)
Fot. Roman Petrycki

Materiały do historii alpinizmu polskiego

XXIV. Jeszcze o pierwszych Polakach w Hindukuszu

I

W związku z artykułem dra R. W. Schramma o pierwszych Polakach w Hindukuszu, drukowanym w numerze 1/1961 „Taternika”, pragnę wyjaśnić parę omyłek i nieścisłości w treści mojej książki „Ku Indyjskiej Rubieży”, które wyszły na jaw dzięki pracy dra Schramma.

Pierwsza z nich, to ustalenie miejsca naszego dziesięcioletniego obozowiska w Górach Darwazkich. Na mapce, dołączonej do mojej książki, punkt ten zaznaczony jest w fałszywym miejscu. W rzeczywistości nie leżał on na pn.-wsch. od Kalaichumb, jak wskazuje moja mapka, ale prawie wprost na zachód, przypuszczam natomiast, że bardziej na północ, niż to sugeruje artykuł i mapka dra Schramma. Zaznaczam jednak, że ponieważ w podróży nie robiliśmy notatek topograficznych, tylko przyrodnicze, przy tym zaś pamięć mnie już obecnie zawodzi, więc położenie obozu jest przypuszczalne. Moja samotna wycieczka, w której dotarłem do wiecznych śniegów, tyczy się prawdopodobnie punktu odpowiadającego wysokości 4088 m według mapki dra Schramma.

Druga nieścisłość w mojej książce tyczy się wędrowki przez Afganistan ku Hindukuszowi. Ponieważ szliśmy nocami, mogłem nie zwrócić uwagi, a raczej nie zapamiętać przebywanych przełęczy,

zaś odtwarzając drogę z pamięci łatwo popełnić omyłkę. Moim zdaniem możliwe jest tylko takie ustalenie tej drogi jak przypuszcza dr Schramm, to jest trasą wschodnią.

W artykule swoim dr Schramm określa moją książkę jako gawędę przyrodniczo-myślową. Tak ją też planowałem w czasie pisanie i przyznaję, że jest traktowana najzupełniej po dyletancku zarówno pod względem topograficznym jak i alpinistycznym.

Włodzimierz Korsak

II

Uwagi p. Włodzimierza Korsaka, najbardziej miarodajnego do ustalenia właściwej trasy wyprawy, zdają się przemawiać za tym, że tak zwany „Obóz Darwazki” wyprawy w r. 1917 leżał w rzeczywistości o kilkadziesiąt km na północ od miejsca, w którym zlokalizowałem go na podstawie tekstu, bardzo niejasnego zresztą, jeśli chodzi o topografię, mianowicie nie w południowej, lecz w północnej części gór Chozretiszi, mniej więcej w miejscu, w którym od ich głównego łańcucha oddziela się odnoga zakończona szczytem Kuch-i-frusz 4573 m. W tym też kierunku należałoby przedłużyć szlak wyprawy w dolinie Obi-niau na zachodniej do artykułu mapce. Potok Arzan-czy byłby w takim razie którymś z dopływów lub wręcz głównym bie-

giem rzeki Obi-niau. Zaśnieżona i zlodowaciała grupa górską, w którą zapuścił się Korsak w czasie swoich górskich wycieczek odpowiadałby węzłowi górskiemu Chozretiszi, wznoszącemu się do 4088 m i nadającemu nazwę całemu łańcuchowi; nie jest również wykluczone, że szczyt 4088 m, jak to przypuszcza Korsak, jest identyczny z wymienianym przez niego w książce szczytem Sia-kuch. Przyjęcie położenia „Obozu Darwazkiego” w północnej części gór Chozretiszi, aczkolwiek nie dające się ustalić dokładnie na podstawie samego tekstu, czyni zrozumiałymi niektóre fragmenty książki odnoszące się do tego okresu działania wyprawy, jak również zaznaczenie obozu na dołączonej do książki mapce w dużej odległości od Urta-tugaju i doliny Pjandżu.

Uwagi p. Korsaka co do trasy przemarszu czteroosobowej grupy przez afgański Badachschan są zgodne z moimi wywodami. Ponieważ nie można się spodziewać żadnych nowych materiałów mogących rzucić dodatkowe światło na tę część wyprawy, należy przyjąć, oczywiście z odpowiednimi zastrzeżeniami, jako trasę wyprawy wschodni szlak wzdłuż doliny Siwzy.

Fakt odszukania jedynej pozostałego przy życiu uczestnika wyprawy z 1917 r. musi budzić zrozumiałe zainteresowanie.

Ryszard W. Schramm

XXV. Z działalności pozatatrzańskiej Triplina

Teodor Trippin (1813–1881), będący z wykształcenia humanistą i lekarzem, w ciągu swego życia dokonał całego szeregu podróży, podczas których poznał m. in. Francję, Szwajcarię, Niemcy, Hiszpanię i Portugalie. Właśnie wtedy, podczas bytności swej w owych krajach, dokonał Trippin szeregu wejść na szczyty górskie, o których to wejściach zapomniał historycy alpinizmu polskiego. Brak jest niestety danych o tym, na jakie szczyty alpejskie wszedł Trippin, w jego bowiem „Wycieczkach po stokach węgierskich i galicyjskich Tatrów” (Warszawa 1856) znajdujemy jedynie wzmiankę o pobycie w Alpach. Posiadamy natomiast dowody jego pobytu w górach hiszpańskich

Sierra Nevada, portugalskich Serra da Estrella oraz w Pirenejach.

Bez wątpliwości największym znany wyciecznik górskim Trippin byłoby wejście w Sierra Nevada na szczyt Picacho Veleta (3432 m), na którym był on pierwszym Polakiem, gdyż wejście jego odbyło się na 93 lata przed wejściem Mieczysława Orłowicza (por. „Na szczytach gór Europy”, Warszawa 1959, s. 377). Trippin dokonał owe go wejścia w jednodniowym wypadzie z Grenady na wiosnę 1840 r. Towarzyszyło mu kilka osób: Polak Sebast'an Gruszczyński. Mateo Ximenez, dwóch Anglików i jeden Włoch.

Pisze Trippin o swej wycieczce: „Jeszcze długo przed wschodem słońca wybieramy się na mu-

lach w owe góry, można się bowiem do nich zbliżyć drogami wprawdzie niebezpiecznymi, aż do stref śniegiem pokrytych” (T. Trippin: „Wspomnienia z podróży”, wyd. II, „Hiszpania”, t. IV, Petersburg 1878, s. 63). Po 7 godzinach jazdy dotarło do Estancia de los Veranos, skąd pieszo udano się na szczyt odległy o 3 godziny drogi.

Droga była trudna: „Droga staje się coraz ciężliwsza, sterczy kłęgi brylantowy w górę. Jak tu trudno postępować naprzód, bo gdzie śnieg, tam łatwo się zapętać, gdzie go nie ma, tam grunt składa się z tablic lupku na sobie leżących, a śliskich okropnie, więc upadło łatwo. Buty byłyby nam nie wystarczyły, dlatego też przyw-

dzialiśmy alpargaly, to jest sandały z plecionego wrzosa. Około nas przepaści ogromne... Już na wysokości 10 000 stóp powietrze tak było rozrzedzone, że nam wszystkim tchu brakło" (tamże, s. 63). Aż wreszcie mimo ogromnych przepaści dotarło na szczyt: „Viktoria! Jesteśmy na szczycie! Naokoło nas całe królestwo Grenady, na południe Morze Śródziemne, a dalej jeszcze w odległości 40 mil — brzegi Afryki" (tamże, s. 65).

Poprzednio, w którymś z wcześniejszych miesięcy wiosennych (marzec, kwiecień?) dokonał Tripplin niezwykle ciekawego wejścia na szczyt określony przez siebie jako Bussaco, znajdujący się w Portugalii, w górach Serra da Estrella. Wysokość jego określił Tripplin na 7300 stóp, co oczywiście było pomyłką, gdyż najwyższy szczyt w tym masywie liczy 1992 m (Pic Malhao).

Punktem wypadowym dla jego osiągnięcia była miejscowość Coimbra, z której udano się na kilkudniową wyprawę. Jej efektem było zdobycie Serra de Murcella oraz wymienionego wyżej Bussaco, pod którego nazwą kryje się — być może — wspomniany Pic Malhao.

Wejście to było bodaj najtrudniejsze z poczynionych przez Trip-

plina: „Zbieramy znużone członki i za pomocą lin, drabin, haków, kopniemy się przez śniegi, walczymy z zimnem i znojami. Wzruszony śnieg stacza się spod nóg naszych i zwiłajając się w coraz większe kłęby, spada w lawinach na dół..." (T. Tripplin: „Wspomnienia z podróży", t. III, „Portugalia", Petersburg 1853).

Na szczycie nie zabawiono długo, zaś zejście nie należało do najłatwiejszych, mimo że odbyło się szybko i sprawnie: „Senhor José [przewodnik] usiadł na śniegu i zjechał po jego powierzchni w głąb pierwszego parowu na 500 stóp głębokiego. My poszliśmy za jego przykładem i tak zjeżdżając w parowy, gramoląc się rękoma i nogami, stanęliśmy w kwadrans na granicy strefy śnieżnej, skąd z wielką pracą i w godzinę nie zaszlibyśmy na szczyt góry. Później skacząc ze skały na skałę, ponad przepaściami, pełząc na czworakach, windując się po sznurach stajemy przecież na brzegach Czarnego Jeziora, wyniesionego blisko 5 000 stóp" (tamże, s. 95).

Tripplin przebywał również i w Pirenejach, nie dokonując tam jednak żadnego poważniejszego wejścia szczytowego. Warto za to zauważyć, że w wycieczkach po owych górach towarzyszył mu Delacroix. Zwiedzono tam cały

szereg dolin, m. in. również i Cirque de Gavarnie, ale z powodu grasujących band zrezygnowano z prób osiągnięcia Mont Perdu (3352 m) oraz wierchołka Maladetty (3404 m), gdyż byłoby zbyt niebezpieczne zapuszczać się daleko w góry (T. Tripplin: „Pamiętniki lekarza polskiego", Warszawa 1857, seria II, t. IV, s. 147).

O jednej tylko wycieczce alpejskiej Tripplina mamy wiadomość; było nią przejście grzbietu Semmering, dokonane z miejscowości Muerzzuschlag. Nie jest to szczyt wysoki i wejście nań nie ma większego znaczenia, jest jednakże dowodem, że Tripplin chodził w góry zawsze, ilekroć miał po temu okazję.

Wejścia, które tu wymieniliśmy, nie predestynują Tripplina jeszcze do tytułu alpinisty, wydaje się jednak, że po przeprowadzeniu systematycznych badań nad wysokogórką jego działalnością, a szczególnie po stwierdzeniu co Tripplin zrobił w Alpach, będzie można mu ten tytuł przyznać.

Jacek Kolbuszewski

Przypisek Redakcji. Czytelnik powyższej rozprawki powinien konieczniej przeczytać wiażącą się z nią następną, która wyraża inne poglądy na działalność Tripplina.

XXVI. Czy Tripplin był alpinistą?

Teodor Tripplin jest autorem licznych książek podręczniczych, wydanych w latach 1844—1878; w niejednej z nich opisane są wycieczki górskie autora zarówno w Tatrach jak i w różnych górach pozatatrzańskich. Dobrze więc się stało, że Jacek Kolbuszewski przypomniał (patrz wyżej, na s. 83) tę mało znaną tatarnikom postać.

Ale czy Kolbuszewski słusznie wytyka historykom alpinizmu polskiego, że o działalności górskiej Tripplina zapomnieli? I czy ma rację Kolbuszewski odbierając Mieczysławowi Orłowiczowi zasługę pierwszego polskiego wejścia na andaluzyjski szczyt Picacho Veleta (3482 m) na rzecz Tripplina?

Nawet encyklopedie (np. S. Orgelbranda *Encyklopedia Powszechna*, tom 14, Warszawa 1903, s. 576) podają, że Tripplin rozszerzał opisy swych podróży zmyślnymi dodatkami, że przerabiał obce dzieła, psując je anegdotami o sobie i Polakach i wydawał pod własnym nazwiskiem. Prze-

cież nawet sam Kolbuszewski pisze gdzie indziej (w niniejszym zeszycie „Taternika" na s. 89), że „Tripplin miał w kołach historyczno-literackich opinię błagierą, jego więc świadectwo nie może być użyte jako wiarygodne".

Otóż to! Mimo że w licznych książkach Tripplina może się kryć niejeden opis jego rzeczywistej przygody, czy rzeczywistego wejścia górskiego, to wobec faktu, że w licznych wypadkach stwierdzono nieprawdziwość jego opisów, nie można dawać wiary żadnym podawanym przez Tripplina wydarzeniom, o ile nie mamy ich potwierdzenia z innego źródła, ale nawet i wtedy trzeba by się liczyć z tym, że spod pióra Tripplina również i prawdziwe wydarzenia wychodziły w formie zniekształconej lub uzupełnionej zmyślnymi dodatkami. Zresztą nawet pobieżna lektura opisów górskich Tripplina musi w umyśle alpinisty budzić rozmaite wątpliwości (por. choćby fragmenty cytowane wyżej przez Kolbuszewskiego).

Zamiast dotychczasowego przemilczania prawdziwej czy rzekomej działalności górskiej Tripplina, lepiej oczywiście o niej wspomnieć (i dobrze, że nareszcie zrobił to w druku Kolbuszewski), ale trzeba to uczynić bardzo krytycznie i przedstawić ją we właściwym świetle.

Dotychczasowi historycy alpinizmu polskiego nie zapomnieli bynajmniej o Tripplinie, ale nie zapomnieli również o jego opinii i dlatego wstrzymali się od uwzględnienia opisywanych przez niego wejść górskich, opisywanych zresztą często w sposób nieprzekonywujący.

Póki nie znajdują się przeciwnie dowody, należy wejścia górskie Tripplina traktować jako wytwory jego fantazji (oparte nierzad na cudzych op'sach), a jego samego zaliczyć nie do alpinistów polskich, lecz do autorów beletrystyki górskiej.

W. H. Paryski

Zimowy sezon taternicki 1960/1961

(Uwaga. Omówienie niniejsze obejmuje działalność jedynie taterników polskich).

W sezonie zimowym 1960/1961 punkt ciężkości polskiego taternictwa przeniósł się z Tatr Polskich w Słowackie, co jest bardzo korzystnym objawem po odwrotnej sytuacji w latach ubiegłych.

W rejonie Morskiego Oka dokonano kilku doskonałych przejść, ale nie można już mówić o skupianiu się tutaj całej działalności taternickiej. Dnia 6 IV 1961 Z. Jurkowski i M. Popko dokonali II zimowego przejścia lewej części pn.-wsch. ściany Kazalnicy w doskonałym czasie 13 godzin, a następnie powtórzyli po nich tę drogę A. Heinrich i R. Zawadzki, 13-14 IV. Wspominając rok 1958, w którym zakładając poręczówki przygotowywano I przejście ponad 20 dni, widać wielki skok naprzód naszego taternictwa i ciągłą deprecjację dawnych wartości.

Srodek pn.-wsch. ściany Kazalnicy przeszły trzy zespoły: W. Kogut i L. Saduś, 25 IV; B. Łazarska i J. Potocki, 30—31 IV; R. Rodziński i tow., również 30—31 IV. Poza tym C. Momatiuk i J. Nyka przeszli pn.-wsch. filar Mięguszowieckiego Szczytu (24 IV), a H. Furmanik i Z. Jurkowski dokonali w dniu 15 IV pierwszego zimowego przejścia „direttissimi” na pn.-wsch. ścianie Cubryny.

W Tatrach Słowackich zorganizowano 5 obozów, w których udział wzięło 45 osób. Poza nimi kilkunastu taterników prowadziło działalność indywidualną.

Z wejść dokonanych w warunkach zimowych należy wyróżnić przejście wsch. filara Ganku przez M. Gryczyńskiego i J. Michalskiego (6 IV), wsch. ściany Gierlachu drogą Birkenmajera przez J. Lisowskiego i A. Pańkowską (5 IV), II polskie przejście zimowe pn.-zach. ściany Niżniej Wysokiej Gierlachowskiej drogą Bernadzikiewicza i Kenara przez K. Filasiewicza, A. Popowicz, J. Rudnickiego i A. Zyzaka (13 IV), przejście pd.-zach. ściany Gierlachu przez K. Głazka i J. Sznyttera (6 IV), wejście pn.-wsch. żebrem na Pośredni Gierlach przez M. Gryczyńskiego i J. Michalskiego (1 IV), I przejście zimowe pn.-wsch. filara Żabiego Szczytu Wyżniego przez M. Popkę, A. Dreszera i S. Mielczarkę (30 I) oraz II przejście zimowe pn.-zach. ściany Lodowego Szczytu drogą Gálfy’ego przez J. Dobrogowskiego, A. Gąsiorowskiego, A. Matuszewskiego i J. Stryczyńskiego (5 IV). Poza tym dwa zespoły przeszły pn.-zach. ścianę Małej Wysokiej drogą FK 820 A: J. Lisowski i A. Pańkow oraz K. Breza i K. Głazek.

W kwietniu, w pierwszej połowie drugiej dekady po poprzedzającym okresie ocieplenia, które spowodowało w znacznym stopniu zejście śniegu ze ścian, zapanowała ładna pogoda, a w nocy mróz. Powstały doskonałe warunki: twardy śnieg na podejściach i w depresjach, minimalna ilość twardego śniegu w ścianach, a większe jego ilości dopiero od wysokości ok. 2200 m; w dzień ciepło i pogodnie.

Wykorzystano ten okres dla dokonania znacznej ilości poważnych przejść, które nawet w zestawieniu z prawie letnimi warunkami należy w kilku przypadkach wysoko ocenić. Dnia 26 IV J. Długosz i Z. Jurkowski przeszli Komin Łapińskiego i Paszuchy na pn.-zach. ścianie Galerii Gankowej w czasie 11 godz., a H. Furmanik i M. Popko drogą Orłowskiego na teźbę ścianie w 5½ godz. W dniu tym nastąpiło załamanie pogody i od południa padał deszcz ze śniegiem. B. Kunicki i M. Popko dnia 22 IV dokonali II przejścia zimowego pn.-wsch. ściany Ciężkiego Szczytu, a dnia 25 IV D. Topczewska i M. Popko przeszli drogą Puśkaśa na pn.-zach. ścianie Galerii Gankowej (II przejście zimowe).

Ponadto w tymże okresie dokonano następujących ważniejszych wejść:

Zadnia Bednarzowa Turnia, I wejście zimowe pn.-wsch. grzędą: D. Topczewska, S. Czerczuk, H. Furmanik i R. Szafirski, 22 IV.

Rysy, I wejście zimowe prawym filarem wsch. ściany: J. Długosz i Z. Jurkowski, 24 IV.

Mały Młynarz pn. ścianą drogą Korosadowicza i Zuławskiego: L. Saduś i K. Tomaszewski, 25 IV.

Galeria Gankowa pn.-zach. ścianą drogą Orłowskiego: S. Worwa i J. Zawadzki, 26 IV (biwak na Galerii).

Ganek wsch. filarem: K. Filasiewicz i J. Rudnicki, 21—22 IV.

Mały Jaworowy Szczyt, II przejście zimowe pn. ściany drogą Komarnickich: M. Bernadt, Z. Grabowski i M. Ziętkiewicz, 21—22 IV.

Łomnica wsch. ścianą drogą Korosadowicza i Zuławskiego: L. Radoń i A. Stanoch, 24 IV; H. Bednarek i J. Dvček, 25 IV.

Łomnica wsch. filarem (drogą Slamy): B. Łazarska i J. Potocki, 24 IV.

Kieżmarski Szczyt prawym filarem pd. ściany: H. Bednarek i A. Stanoch, 22 IV.

Kieżmarski Szczyt prawą depresją pd. ściany: H. Bednarek i J. Dvček, 24 IV.

Komisja Sportowa ZG KW
Podkomisja Tatrzańska
Jan Mostowski

Itineraria

Granaty

Pierwsze wejścia zimowe filarami wsch. ściany

We wschodniej, opadającej do Euczynowej Dolinki ścianie Granatów wyodrębniają się dwa filary: filar wiodący na Pośredni Granat (wysokość od wejścia w ścianę po wierzchołek ok. 280 m) i drugi wiodący na Zadni Granat (wysokość ok. 380 m). Drogi prowadzące tymi filarami nie są ujęte w „Tatrach Wysokich” W. H. Paryskiego, opisane są natomiast w niewydanej dotychczas monografii opracowanej przez R. W. Schramma i obie są tam sklasyfikowane jako drogi piękne, nadzwyczaj trudne, 4-godzinne, o dużej ekspozycji (filar Pośredniego Granata: górna granica nadzwyczaj trudnego z wariantem t. h.).

*

I wejście zimowe wsch. filarem Pośredniego Granata (drogą Nowickiego): Maciej Bernadt i Janusz Chalecki, 29 III 1960.

W ścianę weszliśmy o godz. 7.45. W dolnej części filara poważne trudności przedstawiała wielka, pochyla, wznosząca się w prawo zalodzona płyta, do której doszliśmy wariantem hakowym (wariant B i odcinek E opisu drogi według wspomnianej monografii) oraz opisany w odcinku E pionowy, kilkumetrowy kominek, który był całkowicie zalodzony.

O godz. 14.30 ukończyliśmy część dolną, o godz. 15.00 rozpoczęliśmy górną część filara. Poniżej turniczki kończącej zasadnicze trudności drogi natrafiliśmy idąc ostrzem filara na duże trudności skalne (przy znacznej ekspozycji), które pominięte są w opisie drogi.

Pod wierzchołkiem byliśmy o godz. 22. Wobec bardzo słabej widoczności (mgła, zupełna ciemność) i świeżego śniegu, który spadł w ciągu dnia, zdecydowaliśmy się na biwak. Noc mimo braku sprzętu biwakowego znieśliśmy dobrze, w miejscu osłoniętym od wiatru. O godz. 5.00 zaczęliśmy schodzić z wierzchołka Pośredniego Granata ku Granackiej Przełęczy.

Pogoda. Pochmurno z małymi przejaśnieniami, mgła, od godz. 10 do 18 niewielkie opady śniegu, temperatura w ciągu dnia parę stopni poniżej zera, wieczorem i w nocy ok. -10°C .

Warunki śniegowe. Śniegu dużo, dobrze związany, pod wierzchołkiem jednak śnieg świeży, puch.

Sprzęt. Liny sisalowe (asekuracyjna i połowa zjazdowej), 2 czekany, 1 para raków, 2 młotki, 14 karabinków, 12 haków skalnych, 5 haków lodowych, pętla, 1 lampka czołowa.

*

I wejście zimowe wsch. filarem Zadniego Granata (drogą Eiela i Jaworowskiego): Maciej Bernadt i Janusz Chalecki, I IV 1960.

Wspinaczkę rozpoczęliśmy o godz. 7.30. W dolnej partii filara ominęliśmy gładkie pionowe zacięcie i kominek nad nim trawersując w wielkiej ekspozycji lecz niezbyt trudno w prawo, a następnie idąc wprost w górę aż do połączenia z opisaną drogą. Największą trudnością drogi była nakryta okapem lodowym przewieszka, zamykająca żlebek między dwiema szczytowymi turniami filara. Sforśowanie jej (t. h.), przy leżącej się z góry wodzie, zajęło nam 2,5 godziny. Na wierzchołku o godz. 20.30. Wróciliśmy przez Kozią Dolinkę i Kozią Przełęcz do Doliny Pięciu Stawów.

Pogoda. Słonecznie, temperatura koło zera lub parę stopni wyżej, wieczorem ok. -5° .

Warunki śniegowe. W dolnej części drogi śnieg mokry, wyżej suchy, dobrze związany, jedynie w zejściu miękki, zapadający się.

Sprzęt. 1 lina asekuracyjna i połowa liny zjazdowej (obie sisalowe), 2 czekany, 2 pary raków, 2 młotki, 12 karabinków, 12 haków skalnych, 4 haki lodowe, pętla, 2 lampki czołowe.

Maciej Bernadt

Zadnia Baszta

I wejście zimowe prawym filarem wsch. ściany (WHP 603): Henryk Dembiński, Antoni Gąsiorowski, Stanisław Kubiarczyk i Stanisław Zierhoffer, 6-7 IV 1959.

W dole ściśle korytem drogi WHP 603, dalej ostrzem filara i na „wygodny trawniczek” poniżej dolnej przewieszki. Z niego z lewej strony przewieszki rynną w górę z odchyleniem w prawo na ostrze filara i nim przez kilkumetrową ściankę (t. h.) na nachylony pas trawek, którym w skos w prawo do „stanowiska asekuracyjnego z blokiem”, już na drodze normalnej. Dalej tą ostatnią, w górę wariantem 602 D. Zejście do Doliny Młynickiej drogą WHP 609.

Horarium. 6 kwietnia: wyjście ze schroniska nad Popradzkim Stawem 5.00, wejście w ścianę 6.30, biwak (siedzący) pod dolną

przewieszka filara (po uprzednim założeniu poręczówki na następnej długości liny) 19.00. 7 kwietnia: wyjście z biwaku 5.15, półka na końcu głównych trudności 12.30, wierzchołek 19.00. Powrót do schroniska 3.00 dnia następnego.

Pogoda. Pierwszego dnia pogodnie, ciepło, silny wiatr. W nocy wzrost zachmurzenia. Drugiego dnia od rana załamanie pogody, mgła, duży opad śnieżny, silny wiatr i zadyмка.

Warunki śniegowe. Koryto w dolnej części ściany: zaśnieżone i zalodzone trawki, krucha skała (rano warunki dobre, w południe śnieg mokry i trawki rozmiękłe). Drugiego dnia — na skutek opadu — gruba pokrywa świeżego śniegu, w górze lawiniasto.

Sprzęt (na dwie dwójki). 3 pary raków, 1 para butów z trikuni (bardzo przydatne), 2 liny nylonowe 40 i 70 m, 1 linka pomocnicza, 12 igieł lodowych, 17 haków skalnych, 15 karabinków, pętla, 4 kurtki puchowe, 2 poduszeczki gumowe, maszynka do gotowania.

Drogę przebyto systemem dwóch dwójek współpracujących.

Droga piękna, bardzo eksponowana, o dużym nagromadzeniu trudności.

Antoni Gąsiorowski Stanisław Zierhoffer

Cubryna

I wejście zimowe środkiem pn. ściany „turni zwornikowej” (ok. 1965 m) dwóch filarów pn.-wsch. ściany: Henryk Furmanik i Zbigniew Jurkowski, 15 IV 1961.

Środek pn. ściany wspomnianej „turni zwornikowej”, przebyty po raz pierwszy przed paru laty, został oceniony na „9 godz., skrajnie trudno, t.h.”. Od tego czasu drogę powtórzono dwukrotnie, przy czym nie stosowano podciagu.

W ścianę weszliśmy o godz. 8. Najpierw dwie długości liny nadzwyczaj trudną skałą, a następnie zalodzoną rynną wydostaliśmy się na olbrzymią, stromą płytę, pokrytą lodem i śniegiem. 80-metrowy trawers po tej płycie był niezmiernie emocjonujący ze względu na możliwość zsunienia się śniegu, pod którym płynęła woda. Ściankę ograniczającą płytę przeszliśmy przy pomocy haków.

Następujące po tym pola śnieżne i żłeby nie przedstawiały specjalnych trudności.

W kopule szczytowej, po pokonaniu skalnego odcinka o bardzo dużych trudnościach, osiągnęliśmy łatwiejszy, śnieżny teren, którym weszliśmy wprost na wierzchołek „turni zwornikowej”. Czas przejścia 8 godz.

Wracaliśmy żłebem opadającym spoza „turni zwornikowej” wprost do Żlebu pod Mnichem.

Sprzęt. 100 m liny nylonowej, 12 karabinków, haki, raki typu „Grivel” i typu „Everest”, 2 czekany, 2 młotki, ławki podciągowe.

Zbigniew Jurkowski

Kazalnica Miękusowiecka

II wejście zimowe (I w. zim. bez poręczowania) lewą częścią pn.-wsch. ściany: Zbigniew Jurkowski i Maciej Popko, 6 IV 1961.

Weszliśmy w ścianę o godz. 5. Wejściowe, skrajnie trudne zacięcie przeszliśmy w 50 min., co w połączeniu z szybkim pokonaniem następnej długości liny postawiło nas przed możliwością zdecydowania się na próbę przejścia ściany w jeden dzień. Szansę tę postanowiliśmy wykorzystać. Sprzęt biwakowy i większość jedzenia, obliczonego na trzy dni, pozostawiliśmy.

Po kilku następnych długościach liny straciliśmy plecak zawierający m. i. jedzenie i łańcuchki podciągowe, zasadniczo konieczne przy pokonywaniu ścianki kluczowej. Biorąc jednak pod uwagę naszą dobrą formę, która pozwalała na 1½—2 dniową wspinaczkę bez jedzenia, oraz ciepłą, pewną pogodę, przy której mokry biwak byłby znośny, postanowiliśmy kontynuować wspinaczkę.

O godz. 11 dotarliśmy do ścianki kluczowej. Wszystkie niezbędne nity zastaliśmy osadzone. Idąc jako drugi odpadłem z wyrwanym przy obciążeniu nitom, a pokonanie tego fragmentu bez nitu następczo tak wielkie trudności, że przebycie wspomnianej ścianki trwało w sumie ponad 2½ godz. Nie bez wpływu był tu brak łańcuchek podciągowych, które zastąpiliśmy pętłami osobistymi.

Następujące depresje były zalodzone i nieco ryzykowne, ale nie przedstawiały większych trudności.

Ostatnia partia drogi, wiodąca stromymi polami śnieżnymi, była bardzo zagrożona lawinami i jedynym sposobem zmniejszenia niebezpieczeństwa było rozwinięcie maksymalnego tempa. Tę część drogi, poprzez „Sanktuarium”, przeszliśmy w pół godziny i o godz. 18 stanęliśmy na wierzchołku Kazalnicy. Czas przejścia ściany 13 godz.

Sprzęt. 80 m liny stylonowej, 18 karabinków, haki, pętla, 1 czekan, 2 młotki (w tym jeden lodowy). Dotkliwie odczuliśmy brak łańcuchek podciągowych i raków, które straciliśmy wraz z plecakiem.

Warunki. Warunki w ścianie były stosunkowo korzystne. Wysoka temperatura spowodowała, iż śniegi — których sporo było w partiach trawiastych i depresjach — były niepewne i usuwające się. Cała ściana ociekała obficie wodą tak, że już po przejściu wejściowego zacięcia byliśmy gruntownie przemoczeni. Pionowe odcinki skalne były wolne od śniegu i lodu, natomiast w zacięciach i depresjach spotkaliśmy polewę lodową (verglas). W ciągu dnia wielokrotnie schodziły lawiny z „Sanktuarium”. Również z depresji w lewej

części pn.-wsch. ściany Kazalnicy poszła lawina śnieżno-lodowa. Na szczęście byliśmy wtedy pod okapami.

Uwagi ogólne. Wielkość ściany, spore nagromadzenie dużych trudności technicznych, zalodzone depresje i wiele odcinków trudnych śniegów czynią z tego przejścia drogę typowo zimową, wyjątkowej jak na Tatry klasy.

Wydaje się, że najkorzystniejsze warunki można spotkać w ścianie przy niewielkim mrozie, następującym po odwilży, kiedy skały są suche, a śniegi związane i twarde. W każdym wypadku trzeba liczyć, iż wspinaczka potrwa 1½—2 dni. Należy jednak zrezygnować z ciężkiego sprzętu biwakowego, większej ilości jedzenia i maszyny do gotowania.

Dużym ułatwieniem byłoby posiadanie lekkich karabinków, gdyż tylko na ścianie kluczowej potrzeba ich 16 do 18, a na pozostałych odcinkach znacznie mniej.

Zbigniew Jurkowski

Rysy

I wejście zimowe prawym filarem wsch. ściany (WHP 1025): Jan Długosz i Zbigniew Jurkowski, 24 IV 1961.

Począwszy od jednej trzeciej wysokości rozległej wsch. ściany Rysów, wznosi się wybitny filar, wyprowadzający wprost na środkowy wierzchołek. Podstawę filara osiągnęliśmy idąc najpierw zalodzonym żlebem, a potem rozległymi, lawinastymi polami śnieżnymi.

Następnie dwie długości liny po złodowaciałym śniegu o nachyleniu ok. 60°, po czym ryzykowny trawers po pionowej ścianie śnieżnej na ostrze filara. Filar był w znacznym stopniu zaśnieżony i napotkaliśmy na nim parę skrajnie trudnych miejsc w skale i w lodzie. Końcowa depresja wyprowadziła nas na grań, 20 m od wierzchołka.

Czas przejścia ściany 5 godz.

Sprzęt. 80 m liny nylonowej, 10 lekkich karabinków, 2 młotki, 2 czekany, 2 pary raków typu „Everest”, 2 kurtki puchowe.

Zbigniew Jurkowski

Żabi Szczyt Wyżni

I wejście zimowe pn.-wsch. filarem (droga WHP 1080): Andrzej Drescher, Cezary Mielczarek i Maciej Popko, 30 I 1961.

Schronisko nad Morskim Okiem opuszczamy o godz. 4. O godz. 7.30 wchodzimy w ścianę filara. Pierwszy pas przewieszek nie nastręcza przewidywanych trudności, natomiast pole śnieżne pod górnym pasem przewieszek osiągamy w mozolnej wspinaczce. Pokonanie samego pasa przewieszek (szerokości ok. 60 m)

przedstawia trudności czysto lodowe, dość duże. Potem następuje technicznie zajmujące wejście na ostrze filara śnieżno-skalnymi zachodami i rynnami. Wierzchołek o godz. 12.

Pogoda. Słonecznie, lekki mróz, później silny wiatr halny.

Warunki śniegowe. Śniegu mało, w dole rozmiękły gips, w górze beton. Płytowa półka wyprowadzająca pod pierwszy pas przewieszek — zaśnieżona.

Sprzęt (na 3 osoby). 3 czekany, 3 pary raków, 2 młotki lodowe, 1 lina stylonowa zjazdowa, 1 lina nylonowa asekuracyjna, 10 haków skalnych, 5 haków lodowych, 10 karabinków, 4 pętle, lekki sprzęt biwakowy (liczyliśmy się z możliwością biwaku).

Podciągu nie stosowano, jedynie używano haków jako chwytów.

Maciej Popko

Ciężki Szczyt

Wejście zimowe (I polskie) lewą częścią pn.-wsch. ściany (drogą Stanisławskiego, WHP 1205): Bronisław Kunicki i Maciej Popko, 22 IV 1961.

Wejście w ścianę o godz. 7.20. W górę mało stromymi ale trudnymi zalodzonymi płytami i trawkami pod pas pionowych skał, które droga omija żlebem z lewej strony. Trawers do żlebu nie przedstawia trudności. W żlebie pokonujemy 15-m. próg lodowy, po czym wchodzimy na taras pod uskokiem szczytowym ściany. W mozolnej wspinaczce przechodzimy jego najtrudniejsze miejsce (zalodzona, latem nadzwyczaj trudna przewieszka) i osiągamy grań, a o godz. 15.20 wierzchołek.

Pogoda. Rano słonecznie, później mgła i wiatr. Lekki mróz.

Warunki. Warunki śniegowe i skalne bardzo dobre. W dolnej części ściany twardy śnieg. Skała uskoku szczytowego miejscami zalodzona.

Sprzęt. 2 czekany, 2 pary raków, 1 lina zjazdowa stylonowa (80 m), 2 młotki lodowe, 10 karabinków, 15 haków skalnych i lodowych, 3 pętle.

Bardzo ładna droga zimowa o dużych i różnorodnych trudnościach. Nie stosowaliśmy podciągu, używając tylko haków jako chwytów.

Maciej Popko

Galeria Gankowa

Wejście zimowe (I polskie) prawym filarem pn.-zach. ściany (drogą Puśkaśa, WHP 1342): Danuta Topczewska i Maciej Popko, 24 IV 1961.

Wejście w ścianę o godz. 8. Dolną część filara przechodzimy w rakach. Poczynając od

nadzwyczaj trudnego dolnego trawersu w lewo (wyjście z trawersu zalodzone) skała jest wolna od śniegu. Osiągamy skraj Galerii Gankowej o godz. 13.30. Zejście na Pustą Ławkę uciążliwe (mokry śnieg).

Pogoda. Słonecznie, lekki mróz.

Warunki. W dolnej części filara twardy śnieg i lód, w górze skała wolna od śniegu.

Sprzęt. 2 czekany, 2 pary raków, 1 lina stylonowa (80 m), 10 karabinków, 12 haków skalnych, 3 pętla.

Nie stosowaliśmy ławeczek podciągowych ani pętli, jedynie używano haków jako chwytów.

Droga bardzo ładna, tylko częściowo o charakterze zimowym.

Maciej Popko

Galeria Gankowa

Wejście zimowe (I polskie) pn.-zach. ścianą drogą Orłowskiego (WHP 1344): Henryk Furmanik i Maciej Popko, 26 IV 1961.

Wejście w ścianę o godz. 6. Po pokonaniu skrajnie trudnego przewieszonego progu wchodzimy w zaśnieżony i zalodzony teren, którym wspinamy się aż do ogromnego bloku w połowie ściany. W padającym odtąd śniegu pokonujemy główne trudności drogi. Wyjścia z przewieszek były na ogół zalodzone. Skraj Galerii Gankowej osiągamy o godz. 11.30

Pogoda. Rano zachmurzenie umiarkowane, później duże. Opady śniegu oraz śniegu z deszczem. Ciężko.

Warunki. W dolnej części ściany dość dużo śniegu i lodu, w górnej części skała miejscami zalodzona, podczas opadu skała mokra.

Sprzęt. 1 czekan, 1 lina stylonowa (80 m), 12 karabinków, 15 haków skalnych, 1 para ławeczek podciągowych, 3 pętla.

Mimo dużych trudności nie stosowaliśmy ławeczek podciągowych. Używaliśmy tylko haków jako chwytów. (Czesi, którzy byli tam kilka dni przed nami, przechodzili wiele fragmentów podciągami. Ich przejście w 5 osób trwało 10 godz.).

Droga piękna o dużych trudnościach skalnych. Czas przejścia 5,5 godz.

Maciej Popko

Galeria Gankowa

Wejście zimowe (I polskie) środkiem pn.-zach. ściany drogą Łapińskiego i Paszuchy (WHP 1345): Jan Długosz i Zbigniew Jurkowski, 27 IV 1961.

Wejście w ścianę o godz. 7. Część ściany do komina była całkowicie zalodzona, a wspinaczka w prawie pionowym, wodnym lodzie nastroczała bardzo poważne trudności, co przy problematycznej asekuracji zajęło nam sporo czasu. Sam komin partiami był pokryty cienką warstwą polewy lodowej (verglas).

W późnych godzinach rannych załamała się pogoda i dalszą wspinaczkę kontynuowaliśmy przy prawie bezustannym opadzie śniegu, a nawet gradu. Wyszliśmy na taras Galerii Gankowej o godz. 18, podczas zamieci śnieżnej. Czas przejścia ściany 11 godz.

Zejście przez Pustą Ławkę, częściowo po ciemku, było nieprzyjemne.

Sprzęt. 80 m liny nylonowej, 14 karabinków, haki, 2 młotki, 2 czekany, ławki podciągowe, 2 pary raków typu „Everest”, 2 kurtki puchowe, płachta biwakowa, trzewiki wspinaczkowe (były w użyciu).

Zbigniew Jurkowski

Skalne drogi

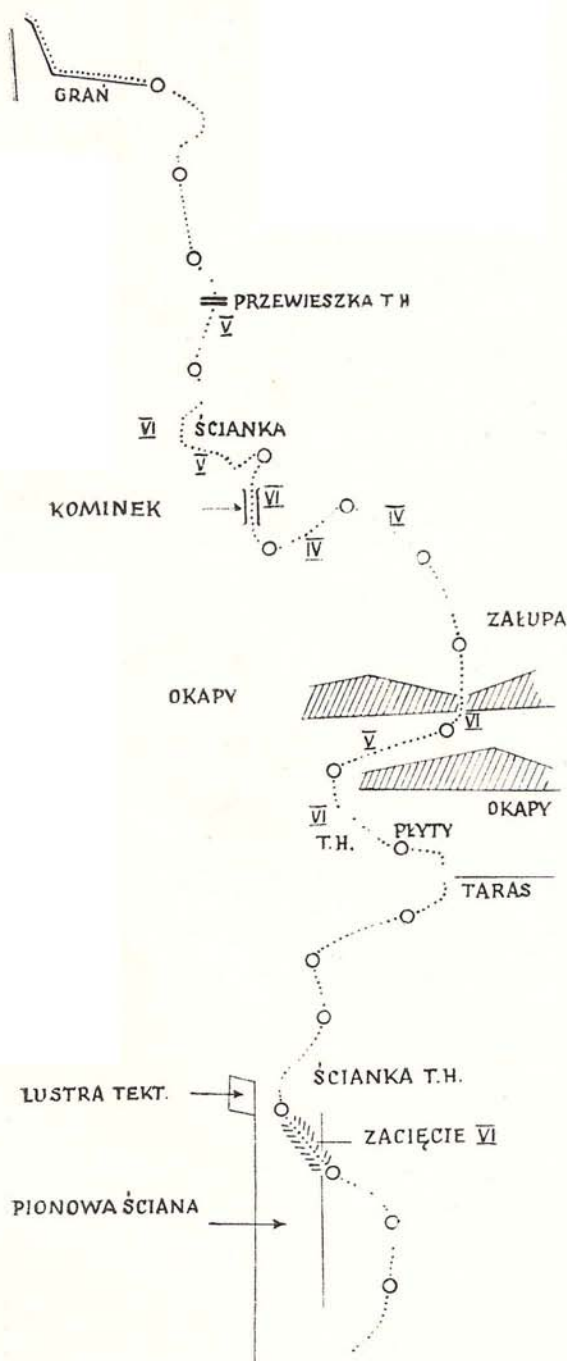
Młynarczyk

I wejście wsch. ścianą: Józef Nyka, Jerzy Rudnicki i Adam Szurek, 1—2 VIII 1960. Droga skrajnie trudna, częściowo techniką hakową (dwa odcinki H3, jeden H4), niezwykle ekspozycyjna i ryzykowna; 12 godz. (czas I przejścia ok. 20 godz.).

Podejście zrazu w kierunku środka ściany. W dogodnym miejscu w prawo na urwistą ostrogę porośłą trawkami i kosówką. Lewą stroną ostrogi 50 m po kruchej skale oraz stromych trawkach i kosówkach (IV). Na lewo

od skalnego żeberka skośnie w górę przez kępy kosówek (III, przewieszka z kosodrzewiny IV) pod jasne, połogie zacięcie. Nim w górę (początkowo IV, potem hak jako chwyt i kilka m IV) do miejsca, gdzie zacięcie zanika (stanowisko w ławeczkach, zupełna ekspozycja).

Stąd w górę przez kruchą, pionową ściankę (H3; 5 haków, wszystkie niepewne). Dalej w górę 50 m bardzo urwistym i kruchym terenem po trawkach i kosówkach (IV). W dogodnym miejscu trawers na prawą stronę żebera, skąd w górę do zarośniętego krzewami kociołka na lewym skraju wielkiego tarasu (możliwość wycofania się ze ściany).



Schemat drogi wsch. ścianą Młynarczyka
Rys. Józef Nyka

Teraz w lewo przez spiętrzone bloki i krótką ryskę (IV) na półkę pod białymi płytami. Z półki w lewo przez niewyb. tne żeberko (V+) do następnego żeberka, przez które techniką hakową (H3, haki niepewne) i dalej przez kruchą i przewieszoną ściankę skośnie w górę na lewy skraj pasa stromych płyt, poprzestanych trawkami (VI, ryzykownie).

Po płytach w prawo 35 m pod wielkimi białymi okapami (częściowo V) do przewężenia pod jasnymi dziobami skalnymi. Teraz prosto w górę — początkowo skrajnie trudno, potem techniką hakową — wprost przez kruche dzioby (H4, 5 haków, niezwykle ryzykowne). Wejście na okap z pomocą pętli zarzucone na wystający z niego niepewny blok (ryzykownie).

Po przejściu okapu (tu był biwak), dnem płytowej załupy po kosówce w górę do jej lewej górnej części. Stąd trawers w lewo 20 m nieco się wznosząc do odstającego bloku, po czym po splekanych płytach dalsze 30 m łagodnie się obniżając pod krótki, przewieszony kominek (IV). Kominkiem w górę (VI, b. krucho) na urwiste trawki, którymi na eksponowaną półeczkę z ruchomymi blokami.

Z półeczki nieco w dół i trawers w lewo 10 m (V) pod kruchą, pionową ścianką. Niał prosto w górę 4 m (hak jako chwyt, VI, ryzykownie), a następnie w prawo w górę przez pionowe trawki (V, potem łatwiej) pod przewieszoną ścianką z rysą. Tuż na prawo od rysy prosto w górę (V) i techniką hakową przez przewieszkę (H1) na łatwiejszy teren.

Prawym ograniczeniem dużego kotła pod-szczytowego (bujna roślinność) 30 m, następnie w prawo na grań (IV). Granią kilka minut w lewo pod blok szczytowy i po splekanych skałach na wierzchołek.

Józef Nyka

Adam Szurek

Mały Młynarz

Uwagi o pn.-zach., pn. i pn.-wsch. urwiskach

(Rysunki obok i na dalszych stronach, ponadto w Tat. nr 3-4/1960 na str. 39 oraz rys. 180 na str. 116 części VII przewodnika WHP).

Mały Młynarz ma dwa wierzchołki: 1) główny (pd.-wsch.) wierzchołek (1975 m), na którym znajduje się wielki kopiec kamieni i tyczka miernicza; 2) niższy (pn.-zach.) wierzchołek, bliżej Wyżniej Skoruszowej Przełęczy.

Nieco na pd. od głównego wierzchołka Małego Młynarza, w pn. grani Młynarza, znajduje się niewybitny garb (ok. 2005 m): Jarząbkowa Czuba; stanowi ona zwornik dla wybitnej bocznej grani, zwanej dotąd niesłusznie pn.-wsch. granią Małego Młynarza (prowadzi nią droga WHP 1101); w tej ostatniej grani wznosi się Jarząbkowa Turnia i Skoruszowy Mnich.

Od obu wierzchołków Małego Młynarza opadają strome urwiska w kierunku żlebu, który zbiega z Wyżniej Skoruszowej Przełęczy na pn.-wsch. (do Dolny Białej Wody) oraz w kierunku następnego żlebu na lewo (tj. na pd.-wsch.) od poprzedniego. W urwiskach tych — ok. 350 m wysokich w swej lewej, najwyższej części — wyodrębniają się kolejno od strony prawej ku lewej następujące formacje:

A. Pn.-zach. ściana niższego wierzchołka (biegnie nią droga opisana w Tat. 3-4/1960, str. 38—39; I w.: Andrzej Chojnacki i Janusz Kurczab, 21 IX 1960).

B. Pn. filar niższego wierzchołka (biegnie nim droga opisana niżej; I w.: Piotr Misiurewicz i Bernard Uchmański, 4 IX 1960).

C. Pn.-wsch. ściana niższego wierzchołka, ograniczona z prawej strony pn. filarem (B), a z lewej pn. depresją (D).

D. Wielka pn. depresja, spadająca ku pn. z siodełka między obu wierzchołkami Małego Młynarza (ową depresją biegnie droga WHP 1099, nazywana dotąd — n e z b y t s ł u s z n i e — drogą pn. ścianą; I w.: Zbigniew Korosadowicz i J. Wawrzyniec Zuławski, 26 VII 1935).

E. Pn.-wsch. ściana głównego wierzchołka Małego Młynarza, ograniczona z prawej strony wspomnianą pn. depresją (ścianą tą biegnie droga opisana niżej; I w.: Jerzy Czerczuk, Maciej Gryczyński, Józef Nyka i Adam Szurek, 4 IX 1960).

WHP

Mały Młynarz

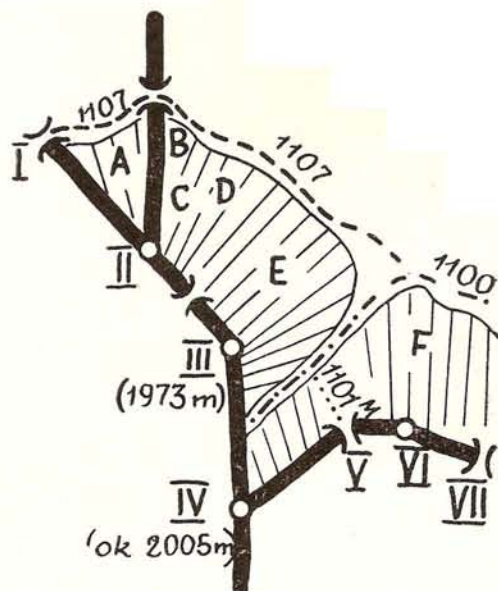
I we ście pn. filarem niższego (pn.-zach.) wierzchołka: Piotr Misiurewicz i Bernard Uchmański, 4 IX 1960. Droga skrajnie trudna; 5(4) godz.

Jest to wyraźny filar, który odgranicza pn.-zach. ścianę Małego Młynarza od jego pn. ściany i jest zaznaczony na rysunku w Tat. 3-4/1960 str. 39. Wysokość filara ok. 250 m.

Podejście: z Doliny Białej Wody lub z Wyżniej Skoruszowej Przełęczy drogą WHP 1107 „na siodełko z lewej strony charakterystycznego żebra, na którym rośnie mała limba”.

Z siodełka w górę 30 m naszym filarem, zbudowanym tu z wielkich bloków, po czym na lewo od krawędzi filara wąskim kominkiem na skalisto-trawiasty teren. Nim na platformę pod spiętrzeniem filara, przeciętym zwężającą się ku górze depresją. Tu do krótkiego kominka w lewej ścianie depresji (b. trudno) i nim na płasienkę.

Z płasienki skośnie w prawo w górę na pochyłe stopnie, skąd trawers w lewo do przewieszanej rysy w lewej ścianie depresji i rysą tą (skrajnie trudno, z pomocą kilku haków jako chwytów) na pochyłą płytę. Teraz w prawo w górę na odpięnięty blok i z niego w prawo (nadmierzająco trudno) na trawiaste



Mapka szkicowa Małego Młynarza

I. Wyżnia Skoruszowa Przełęcz. — II. Niższy (pn.-zach.) wierzchołek Małego Młynarza. — III. Główny (pd.-wsch.) wierzchołek Małego Młynarza (1975 m). — IV. Jarząbkowa Czuba (ok. 2005 m). — V. Wyżnia Jarząbkowa Szerbina. — VI. Skoruszowy Mnich. — VII. Niżnia Jarząbkowa Szerbina. A. Pn.-zach. ściana niższego wierzchołka Małego Młynarza. — B. Pn. filar niższego wierzchołka. — C. Pn.-wsch. ściana niższego wierzchołka. — D. Pn. depresja. — E. Pn.-wsch. ściana głównego wierzchołka Małego Młynarza. — F. Ściana Skoruszowego Mnicha.

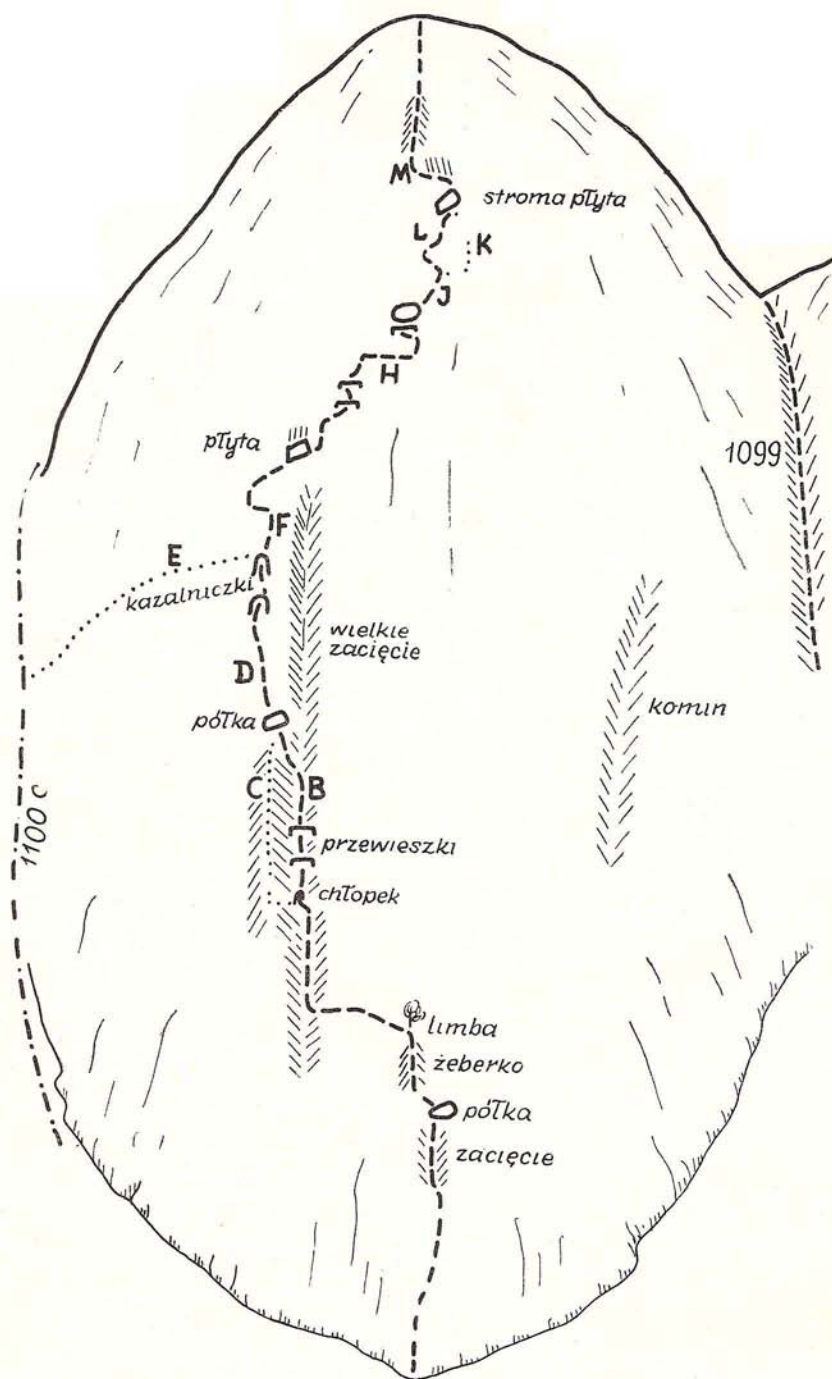
Rys. WHP

stopnie z prawej strony depresji, którymi w górę na ogromny, trawiasty taras, już ponad spiętrzeniem filara.

Nad tarasem niewyraźna krawędź filara jest utworzona przez rodzaj wąskiego, stromego konia. 10 m na lewo od niego w górę na odpięnięty blok, skąd kilka metrów na stopieniek i przez przewieszkę (nadmierzająco trudno) na trawiasty balkonik. Z niego w prawo na szerzbę w filarze, już nad koniem, po czym w górę przez przewieszkę (b. trudno) na trawiasty teren (można tu wytrawersować w prawo na grań).

Ostatni uskok filara przechodzimy od prawej ku lewej, po czym łatwym terenem kilkadziesiąt metrów w górę na grań i niższy wierzchołek Małego Młynarza.

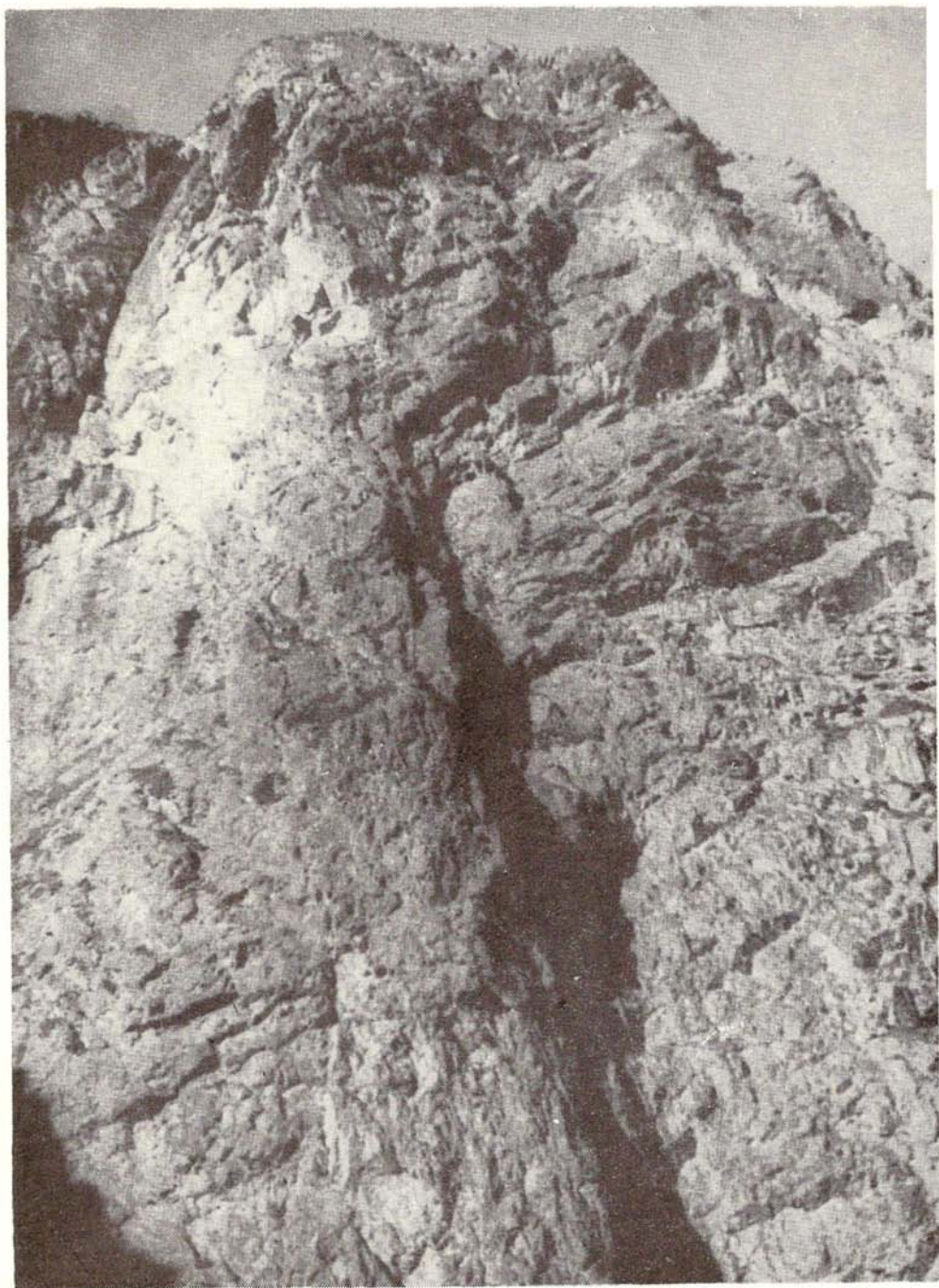
Piotr Misiurewicz



Pn.-wsch. ściana głównego wierzchołka Małego Młynarza

Wkreślona jest droga opisana na s. 94—95

Według szkicu Adama Szurka



Pn.-wsch, ściana głównego wierzchołka Małego Młynarza

Ścianą tą biegnie droga opisana na s. 94—95

Fot. Adam Szurek

Mały Młynarz

Pn. ścianą (drogą WHP 1099). III wejście: Janusz Kurczab i Piotr Misiurewicz, 23 VIII 1959.

W swej środkowej części opis drogi WHP 1099 nie zgadza się z terenem. Być może, że od czasu I wejścia (w r. 1935) nastąpiły tam pewne zmiany w konfiguracji terenu. Obecnie przejście w inny sposób niż opisany poniżej wydaje się niemożliwy. Poza tym za normalny czas przejścia należy przyjąć nie 5 godz. (jak w opisie WHP 1099), lecz 4 godz. (czas III wejścia).

Wejście w ścianę w miejscu, gdzie na prawo od dna depresji (por. opis WHP 1099) wchodzi w ścianę od prawej strony trawiaste poteczki. N m i w lewo (b. trudno) na dużą platformę w depresji. Stąd ściankami 20 m w górę (b. trudno) na następną platformę i 50 m w górę z odchyleniem w lewo trawisto-skalistym terenem na platformę na załamaniu ściany.

Z tej ostatniej platformy trawers 10 m w lewo w wielkiej ekspozycji za węgiel na wygodny stopień. Stąd w górę 5 m rysą (nadzwyczaj trudno), po czym w skos w prawo na stopień. Następnie dalej w prawo płytowym gzymsem do depresji i je lewą ścianką 8 m w górę, po czym w lewo nieco się obniżając i wreszcie w górę 2 m (nadzwyczaj trudno, dolna granica) na trawiasty balkonik. Z niego 4 m w prawo na płytę i w górę 10 m odpychającą ścianką (nadzwyczaj trudno) pod przewieszkę, skąd krok w prawo na łatwy teren, którym do trawiastego kociołka w depresji.

Dalej według opisu WHP 1099 (od w. 19 na str. 114).

Piotr Misiurewicz

Mały Młynarz

I wejście pn.-wsch. ścianą głównego wierzchołka: Jerzy Czerczuk, Maciej Gryczyński, Józef Nyka i Adam Szurek, 4 IX 1960. *Droga skrajnie trudna, eksponowana i piękna; 7 godz.*

(Rysunek i zdjęcie obok, a poza tym por. rys. w Tat. nr 3-4/1960 na str. 39 oraz rys. 180 na str. 116 w części VII przewodnika WHP).

Ściana ta — ok. 350 m wysoka — jest w swej górnej części przecięta parami żółtych przewieszek, a w jej dolną część wcinają się wielkie, 80-metrowe zacięcia, którym częściowo prowadzi opisana tu droga. Na prawo od tego zacięcia, między n m a depresją drogi WHP 1099, widać olbrzymi, jasny, przewieszony komin.

Podejście pod ścianę drogą WHP 1107 z Doliny Białej Wody lub z Wyżniej Skoruszowej Przełęczy.

(A) Wejście w pn.-wsch. ścianę głównego wierzchołka Małego Młynarza w jej najniższym punkcie. Po płytowych skałkach poprzetykanych trawkami 40 m w górę aż do nieregularnego zacięcia (na prawo od linii spadku 80-metrowego zacięcia opisanego wyżej). Zacięciem tym 30 m przez progi (b. trudno) na dużą, wygodną półkę. Z półki w lewo do b. stromego żeberka, którym w górę (nadzwyczaj trudno) na półeczkę z limbą (widoczną już z dołu). Z półeczki w lewo 25 m (b. trudno) do wspomnianego już, 80-metrowego zacięcia. Prawą częścią zacięcia 20 m w górę na mały stopień w jego dnie u stóp wybitnego chłopka skalnego (ostatnie 10 m nadzwyczaj trudno). Ze stopnia:

Albo (nadzwyczaj trudno): (B) Dalej zacięciem przez dwie przewieszki (nadzwyczaj trudno) i dalej z lekkim odchyleniem w lewo na półkę.

Albo (nadzwyczaj trudno, dolna granica): (C) Trawers w lewo na filarek ograniczający nasze zacięcie i w górę z odchyleniem w prawo na półkę.

(D) Z lewego skraja półki rysą 10 m w górę (nadzwyczaj trudno) i dalej już łatwiej z odchyleniem w lewo 25 m na pierwszą kazalnিকę (b. trudno). Z kazalniczki w górę 15 m na drugą, wybitniejszą kazalnিকę (trudno).

(E) Z tej drugiej kazalniczki można wyciąć się ze ściany w sposób następujący (b. trudno): ok. 60 m w lewo i częściowo w dół po stromych płytach, a następnie b. stromymi trawkami do drogi WHP 1100 C, po czym dalszy trawers w poprzek dolnej części ściany Skoruszowego Mnicha do drogi WHP 1101 B.]

(F) Z drugiej kazalniczki 15 m w górę pionową ścianką, po czym w lewo na płytę z płytką rysą. Rysą (nadzwyczaj trudno, dolna granica) aż na pochyłą płytę pod wielkimi żółtymi przewieszkami. Z płyty przewinięcie przez pionowy filarek w prawo (nadzwyczaj trudno) i ścianką 3 m w górę (nadzwyczaj trudno, górna granica) na wąską półeczkę. Półeczką 3 m w prawo pod przewieszkę, przez którą wprost pod następną przewieszkę, skąd (uwaga! albo wariant G albo wariant H jest częściowo mylnie opisany):

Albo (skrajnie trudno, dogodniej): (G) Trawers pod przewieszką 3 m w prawo i przewinięcie przez filarek na balkonik (skrajnie trudno tylko na odcinku 4 m).

Albo (skrajnie trudno, mniej dogodnie): (H) Te ostatnią przewieszkę pokonujemy w jej lewej części (nadzwyczaj trudno) i dalej 3 m w górę pionową ścianką, po czym pozomo w prawo 6 m przez pionowy filarek na stromą płytę. Z niej z lewej strony niewielkiego okapu 5 m w górę na balkonik (ostatnie 12 m bez przerwy skrajnie trudno).

(J) Z balkonika krok w prawo i 4 m w górę, po czym:

Albo: (K) Trawers w prawo do depresji, którą na b. stromą płytę pod przewieszką.

Albo: (L) W lewo załupą (nadzwyczaj trudno, górna granica) i 5 m w górę ścianką na b. stromą płytę pod przewieszką.

(M) Z płyty w lewo 10 m (b. trudno) na ostrze filara, po czym 50 m w górę wprost na główny wierzchołek Małego Młynarza.

Pierwsze trzy próby przejścia ściany: Jerzy Czerczuk i A. Dowgiałło, ok. 20, ok. 25 oraz 29 VIII 1960, do początku wielkiego zacięcia (nie doszli do chłopka skalnego).

Następna próba: J. Czerczuk i Józef Nyka, 30 VIII 1960; zrobili ABD w ok. 6 godz., po czym wycofali się ze ściany wariantem E.

Dnia 4 IX 1960 J. Czerczuk, Maciej Gryczyński, J. Nyka i Adam Szurek wtrawersowali wariantem E w ścianę do drugiej kazałniczki i stamtąd dokończyli ścianę (FHJLM) w 4 godz. Tegoż dnia Gryczyński i Szurek powtórzyli następnie dolną część ściany (ABD) w 1 g. 45 min. i wycofali się wariantem E.

II przejście ściany (zarazem I przejście całej ściany jednym ciągiem): Zbigniew Jurkowski i Adam Nowacki, 25 IX 1960 (ACDFGJKM) w 4.5 godz. Za normalny czas przejścia całej ściany należy przyjąć 7 godz.

(Opracowanie na podstawie materiałów Adama Szurka i Zbigniewa Jurkowskiego).

Mały Lodowy Szczyt

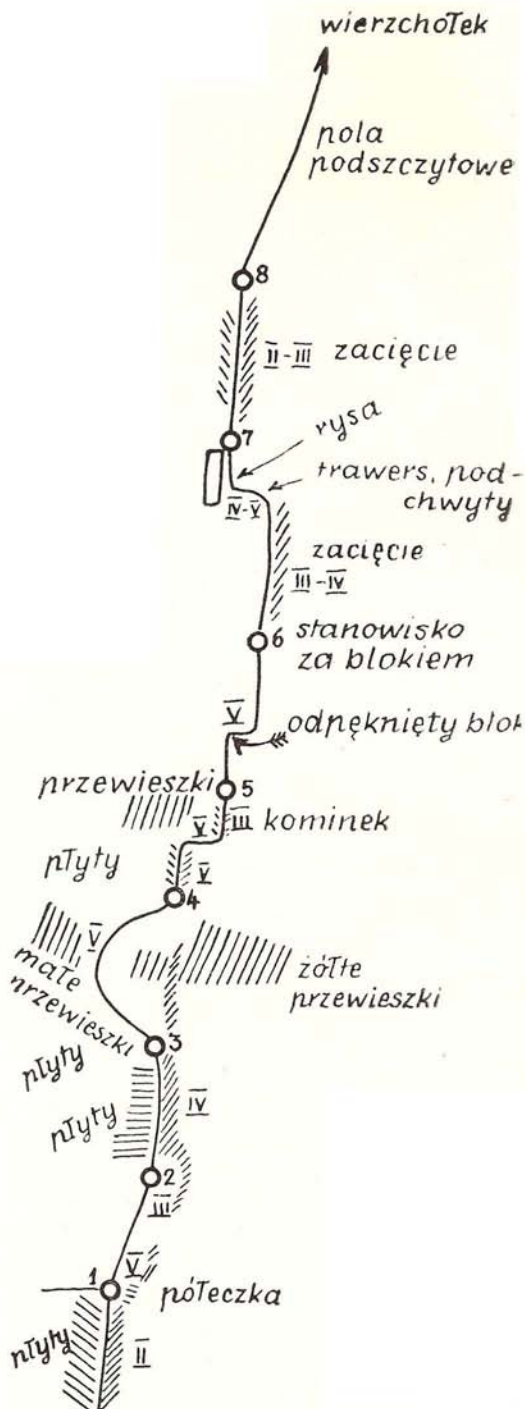
Poprawny opis drogi środkiem pd. ściany. Droga nadzwyczaj trudna, bardzo piękna, o liwej skale; 3 godz.

(I wejście tą drogą: Stanisław Motyka i Jan Sawicki, 23 VII 1932. We wszystkich dotychczasowych przewodnikach — z najnowszym



Pd. ściana Małego Lodowego Szczytu

Strzałka wskazuje drogę Motyki opisaną na s. 95—96
Rys. Antoni Gąsiorowski



Schemat drogi Motyki na pd. ścianie
Małego Lodowego Szczytu

Droga opisana na s. 95—96

Rys. Antoni Gąsiorowski

przewodnikiem Puškáša włącznie — opis tej drogi jest mylny, co spowodowało wiele przypadków zabłądzeń na niej. Poniżej podany jest opis sporządzony podczas przejścia tej drogi przez Boženę i Antoniego Gąsiorowskich, Henryka Dembińskiego i Jana Stryczyńskiego, 15 VIII 1960).

Wejście w ścianę 40 m na prawo od drogi klasycznej, w wyraźnym, płytowym zacięciu. Dnem zacięcia w górę, następnie jego lewą, płytową ścianą (oryginalne chwyt i stopnie) aż pod pas małych przewieszek na lewej ścianie zacięcia. (Na prawo, nieco wyżej, widać wyraźne, żółto zabarwione przewieszki). Pas przewieszek omijamy łukiem w lewo przez wyrwę w nich.

Dalej — ciągle lewą, płytową ścianą zacię-

cia — kilka metrów w skos w prawo i w górę dnem zacięcia do miejsca, gdzie się ono przewiesza. Stąd duży krok w prawo na prawe żeberko zacięcia i kilka metrów dalej w prawo, po czym krótkim kominkiem na stanowisko.

Następnie kilka metrów w górę i krótki trawers — przy pomocy odpiętego bloku — do stanowiska za wyraźnym blokiem, u stóp nowego zacięcia. Nim w górę 15 m, a gdy się spiętrzy, trawers w lewo kilka metrów (podchwyt) i w górę do dalszej części zacięcia. Zacięciem jeszcze kilkadziesiąt metrów w górę, po czym w prawo na łatwy teren, którym na wierzchołek.

Antoni Gąsiorowski

Z Himalajów

Rok 1959 w Himalajach

W odróżnieniu od poprzedniego, rok 1959 charakteryzowały bardzo ciężkie warunki pogodowe panujące w górach na wiosnę i z początkiem lata. a więc w pełni sezonu alpinistycznego. W związku z tym znakomita większość wypraw himalajskich nie osiągnęła swych celów, a cztery spośród nich zakończyły się katastrofami, które pociągnęły za sobą śmierć aż 13 ludzi. Można powiedzieć, że sezon ten był w Himalajach wyjątkowo niepomyślny i pechowy.

Największym przedsięwzięciem sezonu była wyprawa austriacka „Oesterreichische Himalaya-Dhaulagiri Expedition 1959” pod kierownictwem Fritza Moraveca. Została ona już dokładnie zrelacjonowana w „Taterniku” (1/1960: 22—26). Dlatego ograniczymy się na tym miejscu jedynie do przypomnienia, że Austriacy pierwsi porzucili dawny szlak pn.-zach. stokami i zaatakowali „Białą Górę” pn.-wsch. granią. Czołówka wyprawy, Karl Prein i Pasang Dawa Lama, osiągnęła dnia 25 maja wysokość ok. 7800 m już powyżej głównych trudności i zmuszona została do odwrotu przez huraganowy wichur. W czasie działań wyprawy poniósł śmierć w szczelinie lodowej doskonały himalaista, Heinrich Roiss.

Lit. F. Moravec: Dhaulagiri, Berg ohne Gnade. Wien—München 1960.

Drugą z kolei wyprawą na szczyt 8-tysięczny była czysto kobieca „Expedition Féminine au Cho Oyu”. Wymarzoną jej kierowniczką była Claude Kogan, 40-letnia alpinistka, posiadająca rozległe doświadczenie nabyte w trzech poprzednich wyprawach himalajskich. Znała ona także Cho Oyu, na którego stokach w r. 1954 osiągnęła w towarzystwie Raymonda Lamberta wysokość ponad 7600 m, ustanawiając kobiecy rekord wzniesienia w górach.

Na dobór ekipy wpłynęły nie tylko względy kwalifikacji wysokogórskich, ale także finansowe i propagandowe. Weszły więc w jej skład Francuzki: Jeanne Franco, dr Colette Le Bret (lekarzka), Micheline Rambaud (fotografia); Angielki: Margaret Darval, Dorothy Gravina, Ealen Healey; Belgijka Claudine van der Stratten, Szwajcarka Loulou Boulaz oraz Nepalki, córki Tensinga: Pem Pem i Nima, jak również jego siostrzenica Dho-

ma. Te trzy ostatnie, nie posiadające żadnego doświadczenia górskiego, zabrane ze względów propagandowych, mogły oczywiście spełniać jedynie pomocnicze czynności w bazie. Na czele 8 Sierpów stał sirdar Wangdi.

Wyprawa osiągnęła z 200 tragarzami wysoko położony obóz główny (ok. 5600 m) na lodowcu Kye-trak dnia 14 września. Rozpoczęto zaraz wspinaczkę na szlaku pierwszych zdobywców. Alpinistki i Sierpowie spisywali się doskonale; osławiona zerwa lodowa między 6600 m a 6800 m nie zabrała im wiele czasu, tak że już 1 października założono obóz IV na wys. 7100 m. Pozostała w nim czołówka w składzie Kogan, van der Stratten i Ang Norbu z zamiarem przeprowadzenia niezwłocznie ataku szczytowego. Po południu tegoż dnia wybuchła gwałtowna zamieć śnieżna, która zerwała łączność między obozami. Wprawdzie już 2 października próbował sirdar Wangdi wraz z Sierpem Chhowangiem dotrzeć do obozu IV, aby nieść pomoc czołówce, ale na wys. 6800 m porwani zostali lawiną. Wangdi po dwugodzinnych wysiłkach zdołał się wydobyć z opresji, ale towarzysz jego zginał pod zwałami śniegu. Wangdi z ciężkimi odmrożeniami dotarł późną nocą do bazy.

W czasie przelotnego wyjaśnienia dnia 5 października stwierdzono przy pomocy lornety, że obóz IV zniknął z powierzchni śnieżnej. W parę dni potem dotarły tam Franco i Gravina z 2 Sierpami. Ogromne zwały lawiniska zalegały miejsce, gdzie stały namioty. Nie ulegało wątpliwości, że czołowa trójka została zaskoczona lawiną w obozie. O poszukiwaniu ich ciał nie mogło być mowy.

Lit. Cho Oyu. La Montagne, Dec. 1959, str. 174.

Być może najtrudniejsze zadanie postawili sobie Francuzi: Jannu (7710 m) w Himalajach Sikkimu, górę, której smukła sylweta rozpowszechniona w znanym obrazie fotograficznym Vittoria Selli przyniosła sławę niedostępności.

Już w jesieni 1957 r. wyprawa wywiadowcza pod wodzą Guidona Magnone spenetrowała trzy strony tej góry: północną (lodowiec Jannu), pd.-wschodnią (lodowiec Yalung) i pd.-zachodnią (lodowiec Yamatari). W wyniku tych wywiadów obrano

szlak z lodowca Yamatari, jako rokujący największe nadzieje. (Uwaga. Wiadomości o tej wyprawie nie były rozpowszechniane, wskutek czego nie ma jej w mojej kronice „Rok 1957 w Himalajach”. Tat. 3/1958: 37).

Wyprawę zdobywcą finansowały Fédération Française de la Montagne i Club Alpin Français, a protektorat objął prezydent Republiki. Kierownikiem został Jean Franco, a drużynę stanowił sam kwiat alpinizmu francuskiego: J. Bouvier, R. Desmaison, M. Lenoir, P. Leroux, G. Magnone, R. Paragot i L. Terray. W grupie naukowej znaleźli się Ph. Dreux (zoolog), J. M. Frelon (geolog) i J. Lartizien (lekarz).

Gdy wyprawa znalazła się w bazie na lodowcu Yamatari na wys. 4450 m i miała przystąpić do udostępniania wypatrzonego szlaku na pd.-zach. filarze, olbrzymia lawina lodowa oderwała się ze skraju wiszącego lodowca „du Thronne” i wymiotła dokładnie cały szlak i wiodące ku niemu stoki. To zmusiło Francuzów do wyszukania innej, bezpieczniejszej drogi.

Bazę przeniesiono na inne miejsce (ok. 4800 m), po czym 16 kwietnia jednym z bocznych lodowców osiągnięto pd. grań Jannu, oddzielającą baseny lodowców Yamatari i Yalung. Wzdłuż tej grani posuwano się z wolna w górę wśród wielkich trudności, zwłaszcza między obozem III (5800 m) a obozem IV (6400 m). Szczerpowie spisywali się doskonale. Oboz V założono na wys. 6900 m na platformie owego wiszącego lodowca „du Thronne”, u stóp piramidy szczytowej, a oboz VI na pd.-wsch. grani na wys. 7300 m. Wydawało się, że sukces jest pewny. Magnone i Paragot przeprowadzili dnia 12 maja energiczny atak, który jednak utknął 100 m ponad obozem. Dachówkowate płyty wymagały założenia lin poręczowych i zabezpieczenia hakami. Uniemógłwilo to osiągnięcie szczytu w jednym dniu, a na założenie jeszcze jednego obozu powyżej zabrakło zarówno sprzętu, jak paliwa i żywności. Toteż Franco nakazał odwrót.

Lit. J. Franco: Jannu 1959. La Montagne, nr 2/1959, str. 109-121. Mapa: patrz Tat. 1/1960: 27.

Równie sławny z piękności i trudności, acz niższy szczyt w grupie Everestu obrali sobie za cel Anglicy — Ama Dablam (6856 m). Wznosi się on wprost nad sławnym klasztorem w Thyangpoche, a spopularyzowały go w latach ostatnich liczne zdjęcia, wykonane na wyprawach everestowskich.

W małej wyprawie pod kierownictwem J. H. Emlyn Jonesa brali udział George J. Frazer, Michael J. Harris, dr Fred Jackson, E. A. Wrangham i alpinistka Nea Morin. Anglicy obrali drogę odmienną od swych poprzedników z r. 1958 (patrz Tat. 2/1960: 38), a mianowicie pn.-wsch. ostrogi i pn. grań, ponad basenem lodowca Imja. Powoli pokonywali wielkie trudności i założyli cztery obozy, najwyższy (IV) na wys. 6400 m na szczycie „ostrogi”. Dnia 21 maja wyruszył z tego obozu Frazer i Harris. O wczesnej porze rannej towarzysze widzieli ich już na wysokości ok. 6550 m, po czym chmury otuliły górę. Frazer i Harris przepadli bez wieści, a poszukiwania ich nie dały rezultatu. Ponieważ miejsce, gdzie ich ostatnio widziano, leży już ponad najniebezpieczniejszymi partiami szlaku, wyraża się przypuszczenie, że mogli osiągnąć szczyt, a ulegli wypadkowi w trudnym i niebezpiecznym zejściu, wymagającym zjazdów na linie.

Lit. J. H. Emlyn Jones: Ama Dablam, 1959. Alpine Journal, nr 300/1960, str. 1-10.

Bardzo ożywioną działalność rozwijają w ostatnich latach alpinści japońscy. Po zdobyciu Manaslu (8125 m) głównym ich celem stał się Himalchuli (7864 m), drugi szczyt tej samej grupy górskiej, leżący ok. 15 km ku pd.-wsch. Kierownikiem wyprawy był Junjiro Muraki, doświadczony uczest-

nik dwu wypraw na Manaslu, a w skład drużyny wchodził Y. Matsuda, S. Ishizaka, S. Sumiyoshi (lekarz), H. Tanabe, H. Takeda, T. Yamanoi i K. Kimura (fotograf). Sirdarem 8 Szerpów był sławny Gyalzen Norbu.

Ponieważ poprzednia wyprawa wywiadowcza (patrz Tat. 2/1960: 39) natrafiła od pd.-wsch. strony na bardzo wielkie trudności, postanowiono próbować pn.-wsch. skłonów. Dnia 6 kwietnia stanął oboz główny w dolinie Shurang na wys. 4200 m. Założenie trzech obozów pośrednich odbyło się gładko w ciągu 2 tygodni. Powyżej jednak napotkano znaczne trudności, a ponadto jeden z Szerpów. Nyima Tensing, zachorował na zapalenie płuc i zmarł mimo odtransportowania w dół.

Alpinści japońscy podjęli dalszą akcję po pewnej przerwie, przy czym udało się im obejść trudne partie lodowe i założyć dalsze trzy obozy. Z obozu VI na wys. 7150 m wystartowali dnia 21 maja do ataku szczytowego Ishizaka i Matsuda. Pokonali zboczne lodowe o nachyleniu ok. 60°, lecz nie zdołali osiągnąć pn.-wsch. grani, która miała ich wyprowadzić na wierzchołek. Brak wystarczających zapasów żywności i sprzętu oraz zbliżający się monsun zmusił potem wyprawę do odwrótu.

Lit. J. Muraki: Himalchuli 1959. Rivista Mensile LXXIX, 1960, nr 9-10, str. 288-290.

Wywiadowczą wyprawę na Dhaulagiri II (7750 m) wysłał uniwersytet Keio pod kierownictwem współzdobycy Manaslu, Kiichiro Kato. Towarzyszami jego byli J. Ishijima, T. Kambe i H. Miyashita. Po przybyciu drogą lotniczą do Katmandu wyprawa straciła niemal miesiąc cennego czasu, gdyż władze nepalskie nie chciały dopuścić do udziału w wyprawie Szerpów, zaangażowanych w Dardżiling. Po długich staraniach udało się Japończykom uzyskać zgodę samego premiera (!) na dwóch Szerpów — dalszych musieli wziąć z Nepalu.

Toteż wyprawa wyszła z Pokhara dopiero 21 września w długi marsz szlakiem wiodącym najpierw doliną Kali Gandaki, a następnie okracającym łańcuch Dhaulagiri Himal od północy. Bazę założono dopiero 9 października w Mukutgaon. Stąd podejmowano szereg prób podejścia pod Dhaulagiri II od pn., pn.-zach. i pn.-wsch. strony. Wszystkie one rozbiły się wskutek nie dających się przebyć przepaściście kanionów, przecinających drogę potężnych strumieni, a wreszcie olbrzymich kaskad lodowych. Wyprawa wróciła z niczym. Trzeba będzie w przyszłości szukać dojścia od południa.

Lit. K. Kato: Ricognizione al Dhaulagiri II (m 7750). Rivista Mensile LXXIX, 1960, nr 9-10, str. 290-292.

Również w jesieni mała grupa japońska z uniwersytetu Fukuoka — M. Abe, H. Kato (kierownik) i M. Oishi — wyruszyła z 4 Szerpami w Rolwaling Himal z zamiarem wejścia na Gaurisankar (7145 m). Założywszy bazę nad jeziorem Dudh Pokhari w dolinie Menlung na wys. 4800 m, w ciągu października podeszli dwukrotnie pod Gaurisankar, od wschodu i od północy. Nie udało się im jednak wypatrzyć szlaku, który umożliwiłby założenie obozów i transport ładunków. Zwrócił się więc z kolei ku Menlungtse (7181 m), wznoszącemu się po drugiej stronie doliny. I tutaj spotkało ich podobne niepowodzenie. Warto przypomnieć, że już wyprawa Lamberta i Kogan w r. 1954 oceniła oba wymienione szczyty jako niedostępne z basenu Menlung (patrz R. Lambert i C. Kogan: Record à l'Himalaya. Paris 1955).

W drugiej fazie działalności Japończycy rozdzielili się. Abe i Oishi z Ang Temba przeprowadzili eksplorację górnej partii lodowca Menlung, aby potem przez przełęcz Menlung La (ok. 5700 m) przejść do doliny Bhote Kosi.

Druga część ekipy (Kato, oficer łącznikowy i 2 Sierpów) zaskoczona została dnia 4 listopada w bazie przez bandę 9 uzbrojonych jeźdźców, którzy zażądali okupu i po długich targach zadowolili się pozornie kwotą 500 rupii, ale w nocy ukradli Japończykom jeszcze 2260 rupii, po czym nie spiesząc się — na drugi dzień rano odjechali. Obrobiona ekipa połączyła się następnie z towarzyszami w dolinie Dudh Kosi, aby wspólnie udać się na lodowiec Ngojumba celem wypenetrowania dojścia do Gyachung Kang (7897 m), potencyjnego szczytu wznoszącego się pomiędzy Cho Oyu a grupą Everestu. Do Katmandu wrócili dopiero w końcu listopada, dosłownie w przeddzień wymarszu wyprawy ratunkowej, która miała (z udziałem dra Tichy'ego) poszukiwać rzekomo zaginionych Japończyków.

Lit. H. Kato: Spedizione esplorativa al Gaurisankar. Rivista Mensile LXXIX, 1960, nr 9—10, str. 292—294.

Czwartą japońską wyprawę tego roku przeprowadził 6-osobowy zespół T. Yamady, który zwiędził Langtang Himal (pisownia Langtang jest częściej używana niż Langtang), grupę górską leżącą wprost na pn. od Katmandu w odległości tylko 10 dni marszu. I ta ekipa nie zdołała osiągnąć swego celu, szczytu Lirung (7245 m). Próba wejścia nań od pn.-wsch. załamała się na wielkich trudnościach. Wówczas wyprawa skierowała się ku leżącemu nieco dalej ku wschodowi szczytowi Shalbachum. Po założeniu 3 obozów grupa 2 alpinistów i 2 Sierpów weszła na wierzchołek dnia 25 października. Wedle pomiarów japońskich wysokość jego wynosi ok. 6700 m.

Na koniec próbowali Japończycy podejść pod Shisha Pangma (8013 m), ale niepogoda nie pozwoliła im przebyć wysokiej grani drugorzędnej, dzielącej ich od celu. Powrócili więc do Katmandu odmiennym szlakiem przez przełęcz Gosainkund.

Lit. T. Yamada: Spedizione al Langtang Himal. Riv. Mensile LXXIX, 1960, nr 9—10, str. 294—295.

Mała wyprawa amerykańska pod kierownictwem Johna Humphreya z sirdarem Ang Dawą zwiędziła w jesieni okolice na północ od Dhaulagiri Himal. Uczestnicy jej weszli na szereg szczytów 5400—5800 m wysokości w Kandj'roba Himal oraz Thongu Peak (6190 m) w grupie Mukut Himal.

Lit. Bergsteiger, Jan. 1960, str. 220 i Apr. 1960, str. 396.

W H'malajach Garhwalu zostało dokonane w październiku II wejście na Chaukhamba (7138 m) przez grupę alpinistów hinduskich pod kierownictwem oficera lotnictwa S. N. Goyala. Sirdarem był Pasang Dawa Lama. Wejście to świadczy pochylnie o stałych postępach rodzimego alpinizmu hinduskiego, ponieważ wiadomo, że szlak wiodący na Chaukhamba (inna nazwa Badrinath Parbat) jest trudny i niebezpieczny, a zanim został zdobyty przez Francuzów L. George'a i V. Russenbergera (13 VI 1952) odparł ataki świetnych alpinistów austriackich i szwajcarskich.

Lit. The Himalayan Club Newsletter, 17 Oct., 1960.

Herbert Tichy znów odwiedził „swą drugą ojczyznę”. Jak zwykle w najszczytniejszym gronie (z drem Maschke i 4 tubylczymi tragarzami), rozpoczął w maju od Chitralu. Poprzez Kafiristan udał się w rejon graniczny Karakorum między prowincjami Swat a Dir. Założywszy obóz na wys. 3600 m, zwiędził 5 szczytów ok. 6000 m nie nazwanych i nie skartowanych.

W drugiej części swej wyprawy stowarzyszył się z holenderskim filmowcem Janem Boon i udał się w Langtang Himal. Tam wraz z Sierpem Nyima Dorje wszedł na dwa szczyty w łańcuchu południowym pasma (ok. 5800 m i 6000 m), po czym okrężną drogą w ciągu listopada wrócił do Katmandu.

Lit. H. Tichy: Meine Himalaya-Karakorum Fahrt 1959. Oest. Alpen-Zeitung, nr 1309/1960, str. 21—22.

Najwybitniejszy sukces sezonu odnieśli Włosi na Kanjut Sar (7760 m) w Hispar Mustagh w Karakorum. Organizatorem i kierownikiem wyprawy był Guido Monzino. Główny trzon jej arcyznany stanowili zawodowcy przewodnicy alpejscy: J. Bich, Leonardo i Marcello Carrel, M. Lombard, C. Pellissier, Pacifico i Pierino Pession, Lino Tamone. Ponadto brali udział L. Marimonti (zast. kier.), dr P. Cerretelli (lekarz) i dr P. Nava (filmowiec). Bardzo dzielny oficerem łącznikowym okazał się kpt. S. Q. H. Khalid.

Wyprawa należała do typu najcięższych z 12 tonami materiału i 500 kulami. Ci też sprawili największą trudność, gdyż bali się wędrowki w górę 45-kilometrowego lodowca Hispar, ciągle strajkowali, a wreszcie porzucili ładunki i uciekli. Toteż dopiero 21 czerwca ustawiono bazę na wys. 5000 m na lodowcu Khani Basa, schodzącym z pd. stoków Kanjut Sar. Wypady wywiadowcze ustaliły szlak wejścia: od zachodu na pd. grań, która miała doprowadzić do wierzchołka.

W czasie zakładania obozów pośrednich w drodze na grań popełnili Włosi nieostrożność pozwalając dwóm niedoświadczonym tragarzom Hunzom na samodzielne zejście z obozu I do bazy. Skończyło się to upadkiem po lodowym stoku, przy czym jeden z tragarzy, Sultano, doznał wewnętrznych obrażeń i zmarł w kilka dni po wypadku. Po dłuższej przerwie w akcji, spowodowanej zamiecią śnieżną i pogrzebem zmarłego na morenie lodowca Hispar, zakładają Włosi dalsze obozy na szlaku, najwyższy na 7000 m.

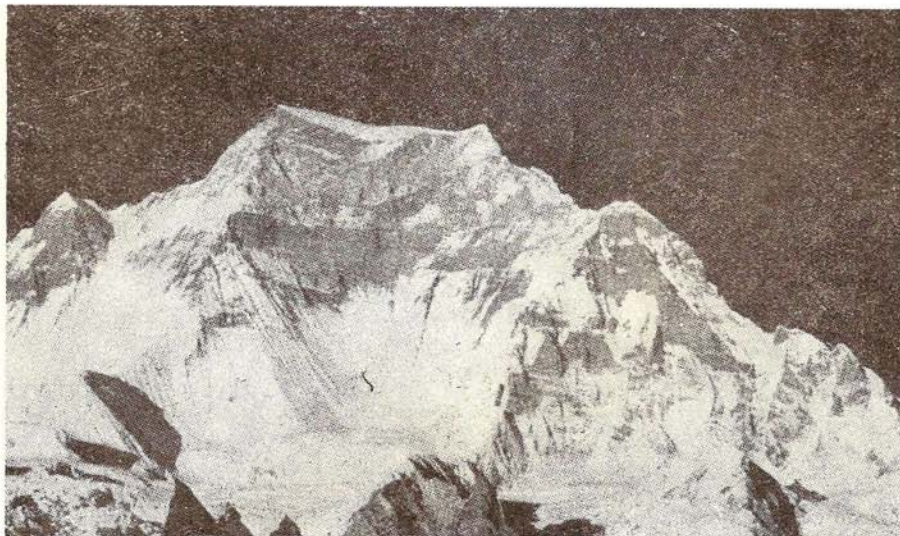
Dnia 17 lipca wyrusza z tego obozu o godz. 5 rano przy dobrej pogodzie dwójka, Jean Bich i Camillo Pellissier. Niebawem jednak bolesne kurcze jelitowe uniemożliwiają Bichowi wspinaczkę. Musi wrócić do obozu VI. Pellissier podąża samotnie dalej w terenie stromym, śnieżnym, aby po południu stanąć na szczycie. Zejście we własnych, umyślnie głęboko wybitych stopniach, jest szybkie. Po krótkim posiłku w obozie VI, obaj wspinacze schodzą tegoż dnia do obozu V.

Lit. La spedizione G. M. 59 al Kanjut Sar. Rivista Mensile, nr 3—4/1960, str. 77—100.

Niemal równocześnie, o 25 km ku zachodowi, druga wyprawa atakowała najwyższy szczyt pasma Hispar Mustagh, Distaghil Sar (7885 m). Była to impreza genewskiego klubu „Androsace” (przy poparciu SSAF) pod kierunkiem sławnego everestowca, Raymond'a Lamberta. Uczestniczyli C. Asper, M. Bize, I. Gamboni, M. Grossi, Ch. Jacquet, A. Kern (filmowiec) i żona kierownika, Amelie. Oficerem łącznikowym był I. R. Mirza.

Wyprawa założyła bazę na lodowcu Khiang (według innej pisowni Kunyang), pierwszym dopływie lodowca Hispar od północy, na wysokości 4500 m u stóp pd. stoków góry. Posuwanie się szlakiem poprzeczników * — pd. stokami na wybitną przełęcz w zach. grani i granią ku szczytowi — wydało się Szwajcarom zbyt ryzykowne. Wybrano pd.-wsch.

* Tj. wyprawy Gregory'ego i Ghiglione'a (p. Tat. 3/1958: 39). Należy tu dodać, że Distaghil Sar został zdobyty w r. 1960 właśnie zach. granią.



Gyachung Kang (7897 m) z lodowca Ngojumba

grań, jako znacznie mniej narażoną na lawiny, aczkolwiek znacznie dłuższą. Zakładanie obozów pośrednich przeciągało się wskutek braku wykwalifikowanych tragarzy wysokogórskich. Dopiero 3 lipca Bize i Grossi obsadzili obóz III na wys. 7000 m i byli gotowi do ataku szczytowego. Nastąpiło jednak gwałtowne załamanie się pogody; 5-dniowa kurniawa nasypała półtora m świeżego śniegu i stworzyła tak lawiniaste warunki, że Szwajcarzy porzucają sporo cennego materiału w obozach i cofają się.

Lit. R. Lambert: *Expédition Suisse au Distsaghil Sar. Die Alpen, Monatsbulletin*, nr 5, 8, 9/1959, str. 106, 184, 192.

W basenie lodowców Chogo Lungma, Kero Lungma i Alchori działała „Army Mountaineering Association Expedition 1959” pod wodzą współzodbywcy Kangchendzongi, kpt. H. R. A. Streathera. 12 oficerów angielskich i 3 pakistańskich podzielono na kilka grup prowadzących akcje oddzielne i samodzielne. Oprócz kilku szczytów 5-tysięcznych (m. n. Gloster Peak 5883 m) główną zdobyczą wyprawy stał się niższy, wschodni wierzchołek Malubiting, masywu stanowiącego punkt zwornikowy pasm Rakaposhi (od zach.) i Haramosh (od wsch.). Szczyt osiągnęli dnia 2 sierpnia Anglik, kpt. A. J. Imrie i Pakistańczyk, kpt. Jawed Akhter. Wedle pomiarów Streathera wysokość tego wierzchołka wynosi ok. 23000' stóp, tzn. 7010 m.

Lit. H. R. A. Streather: *Army Mountaineering Association Expedition 1959, Alpine Journal*, 65, nr 300, str. 37—47.

Blisko zach. krańca pasma Rakaposhi działała niemiecka ekspedycja naukowa „Deutsche Karakorum Expedition 1959”, którą kierował dr Hans-Jochen Schneider. Grupę naukową stanowili sam Schneider (magnetyzm, geologia, glaciologia), dr H. Berer (etnologia i lingwistyka), dr Hans Baumert (geodezja, fotogrametria), dr G. Neureuther (lekarz, fizjologia); grupę alpinistyczną — inż. Rudolf Bardodej, G. Klamert, Fr. Lobbichler i Erw'n Stocker. Do wyprawy dołączył się na koszt własny W. Boerner, a w Pakistanie dodano jej miejscowych pomocników topografa Sahib Shaha i meteorologa S. A. Raufa.

Ekspedycja przeprowadziła rozległe badania w pd. partiach Batura Mustagh i wsch. częściach pasma Rakaposhi, zwiedzając szereg szczytów 5-tysięcznych i przełęczy. Dokonano też próby wejścia na Diran (inaczej Minapin) 7273 m. Alpinisci

podeszli od pn.-zachodu lodowcem Minap'n, na którym założono bazę na wys. 3900 m. Akcję zakładania obozów pośrednich (najwyższy III na wys. 5900 m na przełęczy w pn. grani góry) utrudniała zła pogoda. Dnia 22 VI wyruszyli z obozu III Bardodej i tragarz Kabul ku szczytowi. Posuwając się granią osiągnęli wysokość ok. 7000 m, ale niepogoda zmusiła ich do odwrotu. Dalsze ustawiczne śnieżyce, choroby tragarzy i brak czasu nie pozwoliły na powtórzenie próby. Tak szczyt zasadniczo nietrudny i niezbyt wyniosły odparł już drugi atak alpinistów (pierwsza była wyprawa angielska, p. Tat. 2/1960: 37).

Lit. H. J. Schneider i R. Bardodej: *Zwischen Karakorum und Hindukusch. Jahrbuch des DAV*, 1960, str. 117—129.

Jedną z najcięższych himalajskich katastrof spotkała anglo-niemiecka ekspedycja w Batura Mustagh, na samym zach. krańcu Karakorum. Kierownikiem jej był Keith Warburton, a członkami Angliey R. Knight i H. Stephenson, Niemcy M. Günnel i A. Hirschbichler, wreszcie glaciolog J. I. Edwards i jego pakistański pomocnik J. Sherjan.

Wyprawa od początku nie miała szczęścia; jej oficer łącznikowy okazał się niechętny i bezużyteczny, a zwerbowani tragarze wysokogórscy pozbawieni kwalifikacji. Wskutek tego już od bazy, założonej na morenie lodowca Batura na wys. 3350 m, cały transport spadł wyłącznie na alpinistów i glaciologów. Mimo to pokonano trudną i niebezpieczną zerwę lodową i ustawiono obóz III na wys. 5500 m. Tutaj, dnia 23 VI, Edwards pożegnał swych kolegów i zszedł w dół, by oddać się swym badaniom. Alpinisci mieli zamiar założyć jeszcze trzy obozy w drodze na Batura Peak (7785 m), najwyższy szczyt masywu. Termin swego powrotu wyznaczili za 15 dni.

Zrazu pogoda była dobra. Dnia 28 VI pewien myśliwy pakistański zaobserwował przez lornetę dwóch ludzi zbliżających się do wierzchołka. Upłynęły jeszcze trzy dni pogodne i Edwards był pewien powodzenia ekipy szturmowej. Tymczasem od 2 VII zaczęły się niebywałe zawieje, które trwały bez przerwy do 26 VII. Alpinisci nie wrócili i stało się jasne, że spotkało ich nieszczęście. Edwards nie miał żadnego ekwipunku ani doświadczenia, aby mógł sam myśleć o pomocy, zszedł więc w dół celem zaalarmowania władz miejscowych. Oczywiście na niewiele by się to przydało, jednak Edwards napotkał wracającą spod Diran grupę Bardodeja. Ci niezwłocznie pospie-

szyli na ratunek. Niestety wielkie opady śnieżne spowodowały ruszenie licznych i ogromnych lawin. Niemcy nie zdołali pokonać zerwy lodowca. Z daleka tylko zajrzeli do górnego kotła, w którym nie było ani śladu po obozie III. Cały kocioł wypełniały kolosalne lawiniska. Przypuszczając należy, że zaginiona piątka straciła życie w lawinie.

Lit. J. I. Edwards: The Batura Muztagh Expedition 1959. *Alpine Journal*, 63, nr 309, str. 48–52.

Na koniec naszej kroniki należy przytoczyć jeszcze najważniejsze dwa wejścia poza obszarem Himalajów i Karakorum.

Znany włoski alpinista i podróżnik Fosco Maraini przewodził ekspedycji wysłanej przez sekcję rzymskiego Club Alpino Italiano w składzie: F. Alletto, G. C. Castelli, P. Consiglio, S. Jovane, dr Fr. Lamberti-Bocconi (lekarz), E. Leone i C. A. Pinelli. Udało się im do pakistańskiego Chitralu z zamiarem wejścia na jeden z najwyższych szczytów Hindukuszu, Saraghrar (7349 m).

Wiosni nie poszli szlakiem swych poprzedników. Anglików (p. *Tat.* 2/1960: 39), lecz zbliżyli się do szczytu od pn.-wsch. strony, gdzie założyli bazę na lodowcu Niroghi na wys. 4200 m. Szlak obrany, który wiodł wsch. zborem na pn.-wsch. grań i nią na szczyt, był bardzo długi, skomplikowany, miejscami trudny. Zakładanie obozów przy pomocy 7 tragarzy chitralskich zajęło okres od 6 do 23 VIII. Dnia 24 VIII ruszają do ataku dwie dwójki: Alletto i Consiglio z obozu V (6900 m) oraz Castelli i Pinelli z obozu IV (6600 m). Ci ostatni wystartowali o parę godzin wcześniej, dzięki czemu obie dwójki spotkały się na szczycie, trzecim

wierzchołku Hindukuszu (po Tirich Mir i Istor-onal) zdobytym przez człowieka.

Lit. Franco Alletto: La spedizione romana al Saraghrar Peak. *Rivista Mensile*, 1960, str. 141–154.

Wielka wyprawa chińska dokonała II wejścia na Mustagh Ata w Pamirze kaszgarskim, szczyt mający wedle pomiarów Survey of India 7433 m, natomiast przez Chińczyków oznaczany kotą 7546 m. Obrano szlak identyczny, jak przy I wejściu: od zachodu szerokim grzbietem między dwoma lodowcami na czapę wierzchołkową. Pierwsze dwa tygodnie poświęcono na założenie bazy i obozów I i II. Dnia 2 VII wyszli z bazy masowy atak, w którym wzięło udział kilkadziesiąt osób. 5 VII założono oboz III (6800 m), a następnego dnia oboz IV (7200 m). Z tego obozu wystartowała rankiem 7 VII liczna grupa, z której wyprowadziła kilka osób odpadło, ale i tak szczyt osiągnęło 25 mężczyzn i 8 kobiet. Tempo było bardzo wolne: na przejście 300 m wzniesienia w terenie zupełnie łatwym, nie wymagającym wspinaczki, zużyto 7 godzin.

Ponieważ wejście to stanowi swego rodzaju rekord kobiecy, podajemy nazwiska bohaterki. Były między nimi 4 Chinki: Wang Yi-chin (lat 25, fizyk), Wang Kuei-hua (lat 21, studentka), Chung Chen (lat 21, studentka), Chou Yu-ying (lat 21, geolog) oraz 4 Tybetanki: Sheirab (lat 27, kolchoźnica), Phundob (lat 21, kolchoźnica), Chhmed (lat 21, studentka) i Rabjor (lat 21, studentka).

Lit. Chi Yen-lang: Muztagh Ata. *Alpine Journal*, 64, nr 298, str. 258–259.

Jan Kazimierz Dorawski

Wielkie naukowe przedsięwzięcie w Himalajach

Wspólna podkomisja naukowa Deutscher Alpen-Verein i Oesterreichischer Alpen-Verein wystąpiła w roku 1960 z inicjatywą zorganizowania wielkiej wyprawy naukowej w Himalaje, której nieustanna działalność objęłaby okres 3 lat, przy zmieniającej się kadrze pracowników badaczy. Do udziału w tym dziele przystąpiła najwyższa niemiecka organizacja naukowa, Deutsche Forschungsgemeinschaft, na której wniosek utworzono Radę Ekspedycji, złożoną z wybitnych uczonych (profesorowie Finsterwalder, Flohn, Hoinkes, Kinzel, Kosswig, Steinböck, Troll i w. i.).

Rada ustaliła nazwę ekspedycji: Forschungsunternehmen Nepal-Himalaya, teren jej działalności w Himalajach Centralnych w okolicach bliskich Mount Everestu i wyznaczyła jej cele: a) kartografia, b) glaciologia, c) meteorologia, d) geografia, e) biologia ze szczególnym uwzględnieniem geografii flory i fauny, f) limnologia.

Ogólne kierownictwo ekspedycji objął doc. dr Walter Hellmich, dyrektor Państwowych Zbiorów Naukowych Pawarii. Rząd Nepalu udzielił już swego zezwolenia i z początkiem grudnia 1960 odjechali do Nepalu inż. Erwin Schneider (topograf) i Ulrich Gruber celem przygotowania warunków do przybycia głównej grupy badaczy na wiosnę 1961. (jkd)

Sprostowania

a. W notatce w *Tat.* nr 3–4/1960 (str. 40) o zdobyciu Dhaulagiri należy sprostować, że tylko w pierwszym wejściu brało udział dwóch Szwedów, drugie zaś było czysto europejskie (Vaucher i Weber).

b. W doniesieniu w *Tat.* nr 3–4/1960 (str. 40) o „kawałach Szwedów” pomyłono dwie Annapurny. Na Annapurna II weszli niewątpliwie jako pierwsi wymienieni alpinści angielscy z Szwedem Ang Nyima, startując z obozu VI. Wiadomo, że szlak wiodący na Annapurna IV jest aż do obozu IV na wysokości ok. 7000 m identyczny z poprzednim. Korzystając z tego dwaj inni Szwedowie dokonali III wejścia na Annapurna IV potajemnie i wbrew swym obowiązkom, gdyż zadaniem ich było pomagać grupie czołowej w ewakuacji obozu V.

(jkd)

Speleologia i taternictwo jaskiniowe

W sprawie wypraw i wejść członków Klubu Wysokogórskiego do jaskiń tatrzańskich

W dniu 22 VI 1961 odbyło się w Zakopanem w Grupie Tatrzańskiej GOPR posiedzenie, którego celem było ustalenie zasad kontroli ze strony Grupy Tatrzańskiej GOPR nad wyprawami i wejściami członków Klubu Wysokogórskiego do jaskiń tatrzańskich oraz współpracy między Grupą Tatrzańską GOPR a Komisją Taternictwa Jaskiniowego Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego.

W posiedzeniu wzięli udział: Jan Cybulski (Prezydium GOPR), Eugeniusz Strzeboński i Krzysztof Berbeka (Grupa Tatrzańska GOPR) oraz Ryszard Gradziński (Komisja Taternictwa Jaskiniowego ZG KW).

W wyniku przeprowadzonych rozmów ustalono:

1. Odnośnie do punktu 8 zarządzenia Dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego z dnia 1 VIII 1960 (por. Tat. 1960, nr 3-4, s. 45), Grupa Tatrzańska GOPR winna każdorazowo otrzymać pisemne zgłoszenie planowanej wyprawy lub wejścia do jaskini, wystawione przez Komisję Taternictwa Jaskiniowego ZG KW dla imprez centralnych, a przez Zarządy Sekcji Taternictwa Jaskiniowego KW dla imprez sekcyjnych i wejść indywidualnych. Oryginał zgłoszenia pozostaje w aktach Grupy Tatrzańskiej GOPR, zaś kopia — z adnotacją „akcja została zgłoszona w Grupie Tatrzańskiej GOPR” — zostanie przekazana Dyrekcji TPN.

2. W przypadkach rażących braków organizacyjnych oraz braków w ekwipunku, czy też braku odpowiednich kwalifikacji technicznych, Grupa Tatrzańska GOPR może nie wyrazić zgody na odbycie planowanego wejścia do jaskini. W związku z tym kierownik planowanej akcji jaskinowej ma obowiązek poinformować Grupę Tatrzańską GOPR o posiadanym sprzę-

cie, programie akcji, kwalifikacjach uczestników oraz przedsięwziętych środkach bezpieczeństwa (system alarmowy).

3. W Grupie Tatrzańskiej GOPR zostanie założona „Książka wejść jaskiniowych”, do której wszyscy członkowie Klubu Wysokogórskiego zrzeszeni w Sekcjach Taternictwa Jaskiniowego zobowiązani są każdorazowo wpisać planowane wejścia. Odbycie wejścia do jaskini bez uprzedniego wpisania do książki pociągać będzie za sobą sankcje dyscyplinarne ze strony władz KW.

4. Ze względu na konieczność poznania jaskiń tatrzańskich przez ratowników Grupy Tatrzańskiej GOPR, może ona dołączyć do składu planowanej wyprawy swoich ratowników, za zgodą kierownika wyprawy.

5. W najbliższym czasie Komisja Taternictwa Jaskiniowego ZG KW przekaże Grupie Tatrzańskiej GOPR listę członków Klubu Wysokogórskiego zrzeszonych w Sekcjach Taternictwa Jaskiniowego, z uwidocznieniem kwalifikacji sportowych i doświadczenia jaskiniowego poszczególnych osób.

6. Komisja Taternictwa Jaskiniowego ZG KW będzie przekazywać Grupie Tatrzańskiej GOPR posiadane plany jaskiń w celu ułatwienia orientacji i planowania ewentualnych akcji ratowniczych.

7. Komisja Taternictwa Jaskiniowego ZG KW wyraża pełną gotowość oddania dla potrzeb akcji ratowniczych sprzętu znajdującego się w magazynie Komisji, bądź też stanowiącego własność Sekcji Taternictwa Jaskiniowego.

Krzysztof Berbeka Jan Cybulski
Ryszard Gradziński Eugeniusz Strzeboński

Ukazała się dawno oczekiwana książka o jaskiniach tatrzańskich:

Stefan Zwoliński
W PODZIEMIACH TATRZAŃSKICH

Wydawnictwa Geologiczne
Warszawa 1961

Stron 253, obficie ilustrowane, 14 tablic z planami jaskiń i mapkami,
cena zł 28

Z piśmiennictwa

Lech Utracki: W krainie Tau-Dżin-rauyszacna. Łódź 1960. Stron 182 + tablice fot. + 3 mapki. Cena zł 15.

I

Nową książkę Utrackiego powitałem tak, jak się wita miłego znajomego, o którym wiadomo, że nie tylko ma wiele do powiedzenia na pasjonujący nas temat, ale że również potrafi uczynić to ładnie i z wdziękiem. Niewielki, dość obficie ilustrowany tomik przeczytałem jednym tchem (choć nie jest to lektura specjalnie sensacyjna) i z przyjemnością stwierdziłem, że stanowi on postęp w porównaniu z „Notatnikiem alpejskim”. Jest bogatszy zarówno w treść poznawczą (etnograficzną zwłaszcza), jak i pewne przemyslenia dotyczące przede wszystkim sensu alpinizmu, który to problem nurtuje dziś nie tylko Utrackiego.

Myśl o „górach jako przystani, schronieniu” dla nowoczesnego człowieka w epoce ultranowoczesnych środków masowej zgłady brzmi jak sarkazm pod adresem dzisiejszego świata. Nie można jej niestety odmówić trafności, choć żadna arytmetyka, żadne statystyczne relacje liczb wielkich i małych nie odejmą śmierci górskiej jej grozy, tragizmu i bezsensu, którym dla człowieka zawsze pozostanie urzeczliwość wartości. Tej największej dla nas wartości, jaką jest życie ludzkie, powinniśmy zatem bronić w górach i wszędzie gdzie tylko może być zagrożona.

Co do wartości alpinistycznej przejść filarem Walkera i pn. ścianą Cima Grande nie może być różnicy zdań. Jak najbardziej podpisuję się pod potępieniem (str. 139) „kowlstwa” na ścianach i to jeszcze rozłożonego „na dniówki”. Autor mówi o „ósmym zdobyciu” Szchary. Nie jest to oczywiście paradoks, jeśli nie odnosi się np. do niektórych dróg przebywanych uproszczonym sposobem od haka do haka po zastawione przez poprzedników.

Nie z wszystkich jednak można się zgodzić całkowicie. np. dyskusyjne jest moim zdaniem przedstawienie wynajdu Nookau-sauz-kaya, który według „Taternika” (1936, nr 3) miał nieco inną genezę. Rażącym błędem jest „pomnik Kasprowicza” pod Małym Kościelcem, zamiast Karłowicza. Błędem tego nie umniejsza fakt, że obaj ci walecy artyści chodzili po Tatrach.

Utracki umie opowiadać ładnie, barwnie, nie stroi niepotrzebnych min, jest sobą (co bardzo ważne). Rozdział pt. „Smak zwycięstwa” jest napisany doskonale, chyba najlepiej ze wszystkich. Porównania niekiedy odznaczają się świeżością, a płyną z bogactwa miarkowanego, są więc tym szlachetniejsze.

Niestety jest również sporo potknięć językowych. Oprócz takich drobniaków jak „długie po kolana spodnie” czy „rozbijamy śpiwo” — uderza nieporadność sformułowania składnią słusznego: „Dobrze jest czuć się należącym do ich świata”. Czy ostatecznie nie brzmiałoby lepiej po polsku zdanie: „Dobrze jest czuć swą przynależność do ich świata”? Być może jest to tylko rzecz słuchu, ale w sprawach artystycznych słuch jest równie ważny jak np. smak. Odnosiłki w rodzaju „Przełęcz Południowa — Col du Midi” są chyba po to, aby tę samą nazwę podać po francusku. Szkoda, że ich autor nie dał bliższych wyjaśnień, jeśli przeznaczone miały być dla nieobeznanych z topografią masywu Mont Blanc.

W sumie zawdzięczamy jednak autorowi, którego talent niewątpliwie rozwija się, jeszcze jedną piękną i wartościową pozycję wysokogórską i wiele miłych wrażeń przy lekturze. Pod adresem pani Czesławy Utrackiej, „odpowiedzialnej” za stronę graficzną książki — liczne komplementy.

Jerzy Kolankowski

II

W ostatnim czasie dał się zauważyć w piśmiennictwie wysokogórskim pewen pozytywny objaw: autorzy licznych opowiadań, wspomnień i reportaży górskich coraz częściej rezygnują w narracji z ograniczenia się do samego tylko opisu wspinaczki, rozszerzając go o obraz człowieka i jego reakcję na sprawy alpinizmu czy taternictwa.

Widać to doskonale u Utrackiego, którego „Notatnik alpejski” imponował jedynie potocznością owej górskiej akcji, zatacając gdzieś człowieka. „W krainie Tau-Dżin-Padyszacha” stanowi wielki krok naprzód w tym względzie. W kaukaskiej części tej książki autor przerzucił w bardzo inteligentny sposób główny ciężar zagadnień w stronę kraju i człowieka, nadając w ten sposób książce rangę utworu literackiego z prawdziwego zdarzenia. A to już dużo. Jak się już kilkakrotnie w recenzjach rzekło, opisy wspinaczki

rzadko kiedy posiadają swoje własne indywidualne oblicze. Dobrze więc się stało, że Utracki zrezygnował częściowo z akcji alpinistycznej na rzecz opowieści o ludziach gór, opowieści o Swanecji i Balkarii. I nawet to, że w postaci Jurija gdzieś zapodział się alpinista, a pozostał mahometanin i — po trochu — dziwak, nawet to wyszło książce na korzyść. Utracki postać tę skreślił sugestywnie, z właściwą sobie lekkością piora.

O ile jednak w tym względzie książka ta stanowi poważny krok naprzód w dorobku Utrackiego, o tyle Utracki-stylista obniżył w sposób widomy swój poziom. Kilkakrotnie potknięcia stylistyczne, niepoprawna maniera w opisach krajobrazu — znacznie zaczęły na książce. Poważnym błędem autora jest również wyważanie otwartych drzwi i określanie nie w narracji i za pomocą akcji powieściowej, lecz w relacji odautorskiej swej filozofii górskiej. Zbyt to pretensjonalne, by mogło być dobre.

Wielkie natomiast słowa uznania należą się Utrackiemu za swobodę z jaką operuje materiałem, za odważną kompozycję alpejskiej części książki. Ciekawie rozwiązana kompozycja wspomnień i opisu, opartych o przejście filarem Walkera, zdradza wielkie możliwości autora książki. Szkoda tylko, że ciekawe i oryginalne zabiegi kompozycyjne niweczy literacka bezbarwność opisu, pomieszana z lekką fanfaronadą. Czytelnik wie, że tam było trudno — ale i to nie bardzo, bo trudności przysłusza nutka samouielbienia. A to grozi manierą. Jak się jednak wyżej rzekło, „W krainie Tau-Dżin-Padyszacha” poziomem swym sięga znacznie wyżej niż słaby „Notatnik alpejski”.

Opanowanie coraz lepsze warsztatu pisarskiego daje się zauważyć u Utrackiego również i w dialogach, pełnych werwy, tempa i zrecznej stylizacji, choć nie pozabawionej — nieuniknionej w świecie ludzi gór — żargonizmem. I jeszcze jedna uwaga w stronę autora: taternicy nie używają gwary lecz żargonu. A różnica to istotna.

Mimo że omawiana książka posiada jeszcze wiele słabości, to jednak wypada ją zaliczyć do rzędu naciękawszych, choć ciągle nie najlepszych książek powojennych o tematyce wysokogórskiej. W każdym zaś razie jest ona dobrą zapowiedzią na przyszłość.

Jacek Kolbuszewski

Georges Kogan i Nicole Leininger: Białe Kordyliery. Wyprawa francusko-belgijska w Andy (1951). Tłumaczenie Kazimierz Żuławskiej. Warszawa 1961. Stron 111, liczne tablice z fotografiami i mapkami. Cena zł 20. Wydawnictwo „Sport i Turystyka”.

Powszechność, z jaką występują w literaturze alpinistycznej gatunki tzw. „stosowane”, jest zjawiskiem charakterystycznym nie tylko dla polskiego piśmiennictwa górskiego, lecz dla całej prawie europejskiej literatury alpinistycznej. Tak samo jak i w Polsce, rzecz ma się we Francji, gdzie przeważająca ilość literackich publikacji wysokogórskich stanowią wspomnienia z wypraw i pamiętniki wspinaczy.

Do tej właśnie kategorii literatury wypadnie zaliczyć „Białe Kordyliery” Georges Kogana i Nicole Leininger. Bez wątpliwości należą one do największych osiągnięć niezbyt dobrze u nas znanej francuskiej literatury wysokogórskiej, mimo że nazwisko Kogana posiada wcale wyrobioną markę literacką, co da się powiedzieć również o Nicole Leininger. Mimo to „Białe Kordyliery” posiadają sporą wartość i zasługują na baczną uwagę, jaką zwraca już bezpretensjonalna symbolika tytułu.

Ta ciekawa książka posiada jednak sporo niedociągnięć, znacznie obniżających jej wartość. Szwanokuje w niej przede wszystkim kompozycja, mimo że połączenie dwóch opowiadań w jedną całość za pomocą kłamy, która stanowi wiersze Jacques Préverta, efektywnie tłumaczone przez Artura Międzyrzeckiego, zostało dokonane w sposób nadzwyczajny. Owe braki kompozycyjne objawiają się w opowiadaniu pani Leininger w stopniu dość znaczącym, polegając głównie na nieumiejętności dokonania należytej selekcji zaobserwowanego materiału, jak też i niewykorzystaniu tych możliwości, jak'e dawała konfrontacja Europejczyków z kulturą Inków.

Wielką natomiast zaletą książki stanowi to, że połączono w niej w jedną całość obraz działalności jednej i tej samej wyprawy, opłany z dwu różnych perspektyw. Wyprawa, alpinizm i góry, widziane oczami kobiety, wyglądają zgoła inaczej niż w oczach mężczyzny. I właśnie to przeciwstawienie męskiego spojrzenia na sprawę górskie kobiecemu, stanowi o istotce wartości „Białych Kordylierek”.

Narracja Nicole Leininger, nie pozbawiona pewnych elementów surowości, uderza swą „kobiecą łagodnością”. W jej uwagach o alpinizmie i jego sensie, niezwykle subtelnie wpłcionych w tok

narracji i stanowiących immanentny element przeżyć alpinistki, kryje się lek przed niebezpieczeństwami gór — i to lek tych, które tak często skazane są na czekanie. Lek ten przezwyższony jednak zostaje przez świadomość wartości przeżyć górskich.

Przezwstawieniem wspomnień pani Leininger jest opowiadanie Kogana, po męsku zdecydowane, lekkie w narracji i o wartkiej akcji. Te czynniki nie przesłaniają jednak zrozumienia i próby ukazania sensu wyprawy i alpinizmu w ogólności, sposobów jego oddziaływania na psychikę ludzką, czy też ujawnienia pewnych rysów typowych dla charakteru alpinisty. Gdy do tego dodamy wielką dbałość o dobór środków, o nasycenie utworu elementami komizmu — wtedy stwierdzić można, że opowiadanie Kogana jest n'e mniej ciekawe niż opowieść pani Leininger.

W sumie książka jest nie tylko ciekawą lekturą dla alpinistów, lecz posiada wszelkie szanse na to, by uzyskać znaczną poczytność w kręgach ludzi zainteresowanych górami jedynie dorywczo. Może więc ona posiadać znaczną rolę społeczną — i to szczególnie w warunkach polskich.

Wiele zasługi ma tłumaczka, Kazimiera Żuławska, której należą się słowa wielkiego uznania za dużą kulturę przekładu tej książki, jednej z najciekawszych o górach, jakie ukazały się w Polsce w ostatnich latach.

Jacek Kolbuszewski

Marcel Kurz: Chronique himalayenne. L'âge d'or 1940—1955. Fondation Suisse pour Explorations Alpines. Zürich 1959. Stron 441 + 69 tabl. fot. + 15 mapek.

Dzieło to, zapowiadane już od kilku lat, ukazuje się po dłuższej zwłoczce. Niestety w zmniejszonych w stosunku do zapowiedzi rozmiarach! Zamiast trzech tomów, obejmujących całokształt himalaizmu od pierwowcin po chwilę dzisiejszą, otrzymaliśmy jeden — co prawda okazały — tom, zawierający okres lat 1940—1955.

Opisaną przez siebie erę nazywa Kurz „złotym wiekiem” niewątpliwie słusznie, choć wypada zauważyć, że data końcowa jest wybrana dość sztucznie i określona wyłącznie koniecznościami wydawniczymi. Nie ulega bowiem kwestii, że złoty wiek trwa jeszcze, co najmniej do zdobycia ostatniego ośmiotysięcznika. Złoty wiek dzieli autor na cztery okresy: 1940—1946, 1947—1950, 1951—1952 i wreszcie 1952—1955. Tom kończy się na zdobyciu Kangchendzongi i Makalu. W obrębie tych okresów mieszczą się dzieje poszczególnych grup górskich w zależności od wschodu ku zachodowi.

Książka Kurza jest rezultatem benedyktyńskiej i wręcz gigantycznej pracy. Nie ma artykułu w periodykach alpinistycznych lub geograficznych, nie ma książki, której by autor nie przeczytał, nie wykorzystał w swej kronice i n'e podał w precyzyjnych przypisach bibliograficznych. Mało tego, nieraz cytuje nawet ważniejsze głosy prasy codziennej. Bibliografię podaje Kurz na bieżąco, przy danym ustępie pracy, co — być może — zbliża ją do czytelnika, nie zmuszonego do wertowania w osobnym zestawieniu na końcu tekstu. Kurz notuje każdą, nawet najmniejszą wyprawę himalajską, podając jej wyniki. Powstało więc dzieło niezwyklej dokładności i wyjątkowej wartości.

Specjalną uwagę poświęca autor tragarzom Szwajcarii, chcąc przekazać opinię alpinistycznej ich służby. Cytuje skrzętnie wszystkie nazwiska, nie tylko tych, którzy się wybili osiągnięciami i sławnymi wejściami. Musiało to być połączone z niemałym trudem badawczym, gdy się zważy, jak mało uwagi poświęcali autorzy relacji himalajskich właściwej pisowni nazwisk swych tragarzy. Wskutek tego identyfikacja tak często jednakowo nazywanych Szwajcarów nastrożać musi niemałe trudności. Indeks Kurza obejmuje 157 tragarzy Szwajcarii działających w opisywanym okresie dziejów himalajskich.

Trzeba stwierdzić, że do napisania podobnego dzieła nikt nie był lepiej przygotowany od autora, który już w r. 1933 zaczął prowadzić systematycznie kroniki działań górskich w Himalajach i ogłaszał je najpierw w „D'e Alpen”, później w „Berge der Welt”, doprowadzając je do 1952 r. W obecnym dziele posuwa je dalej, ale działalność himalajską tak się spogłowała, że ten ostatni okres 1952—1955 zajmuje około dwóch trzecich całej książki! Uzupełniająca tekst „Chronologia wypraw” obejmuje ogółem 139 wypraw himalajskich!

Dzieło Kurza jest i pozostanie podstawowym opracowaniem w dziedzinie literatury himalajskiej i każdy, kto zechce pisać na te tematy będzie musiał się z nim zapoznać. Z niecierpliwością będziemy oczekiwali na dalszy ciąg ogromnej pracy, która da nam relacje o czasach najnowszych, po 1955 roku.

Jkd

Günter Oskar Dyhrenfurth: Der dritte Pol. Die Achttausender der Erde und ihre Trabanten. Nymphenburger Verlags-handlung. München 1960. Stron 363 + 35 fot. + 16 mapek + 4 rys. + 6 profiliw geologicznych. Cena w oprawie marek 28.

W r. 1952 ogłosił prof. Dyhrenfurth, obdarzony dla swego zawodu problematyki himalajskiej przydomkiem „papieża himalajskiego” (der Himalaya-Papst), obszerną książkę pt. „Zum dritten Pol“, która zawierała ówczesny stan wiedzy o 14 najwyższych masywach Himalajów i Karakorum. Był to okres, kiedy zdobywanie ośmiotysięczników ledwie się zaczynało — padła dopiero pierwsza Annapurna (w r. 1950). Obecnie ta „złota era” himalaizmu dobiega końca — ostatnią niepokonaną górą jest Shisha Pangma (8013 m).

W tak zmienionych warunkach nie mogło wystarczyć nowe wydanie starej książki. Autor napisał więc dzieło właściwie całkiem na nowo, włączając do niego niektóre tylko ustępy dawne i dając mu podobny tytuł. Jest to całkiem zrozumiałe, gdy się zważy, że główna ilość opisywanych wydarzeń przypada właśnie na okres po 1952 r. Ponadto autor rozszerzył nieco tematykę, obejmując swymi relacjami także niektóre szczyty siedmiotysięczne. Układ treści uległ też przebudowie, poszczególne rozdziały uszeregowane są wedle kryteriów geograficznych, poczynając od wschodu ku zachodowi, a więc od Kangchen-dzongi do Nanga Parbat i Karakorum.

Książkę zamyka, jak i dawniej, zestawienie wszystkich wejść na szczyty powyżej 7000 m. I tu uderza wybitna różnica: obejmuje ono 71 pozycji, gdy uprzednio było ich zaledwie 31. Zestawienie doprowadzone jest do sierpnia 1960 r. Niestety posiada ono wybitne luki ze względu na niekompletne informacje o wejściach radzieckich (np. II–IV wejścia na Szczyt Stalin, dalsze wejścia na Szczyt Lenina) i chińskich (II wejście na Muztag Ata i Minyag Kangkar). Brak także japońskiego i polskiego wejścia na Noszak — być może dlatego, że wieść o nich nie dotarła jeszcze do autora. Powtarzają się również pewne błędy w datach (I wejście na Tich Mir 21 i 22 lipca 1930, zamiast 22 i 23 lipca, Kharta Phu 28 sierpnia 1935 zamiast 29 lipca), przejęte zresztą z poprzednich zestawień autora. Mylne jest też wymienianie przy wejściu na Kun w r. 1913 obok Ali Rahina drugiego jeszcze tragarza.

Znane zalety pióra prof. Dyhrenfurtha sprawiają, że tę historię alpinizmu w masywach ośmiotysięcznych czyta się łatwo i z niesłabnącym zainteresowaniem. Książkę zaliczyć wypada do klasycznych dzieł literatury himalajskiej, stanowiących nieodzowną pozycję w każdej bibliotece górskiej.

Tekst uzupełniają szkice topograficzne wszystkich opisywanych masywów górskich w liczbie 16, odznaczające się prostotą wykonania graficznego i wybitną in-

struktywnością. Ilustrację stanowią liczne piękne plansze fotograficzne.

jkd

Norman Hardie: Im höchsten Nepal. Ein Leben mit den Sherpas. (Tytuł angielskiego oryginału: In highest Nepal). Tłumaczył W. R. Rickmers. Buchergilde Gutenberg, Frankfurt am Main 1960. Stron 160 + 42 fol. + 3 mapki.

Jeden z uczestników wejść szczytowych na Kangchendzongę w r. 1955, Nowozelandczyk Norman Hardie, po ukończeniu zwycięskiej wyprawy pozostał jeszcze na własną rękę w Himalajach. Wraz z trzema Sierpami (Urkien, Yla Tensing i Gyaltzen) odbył daleką wędrówkę wzdłuż głównego pasma gór do ich ojczyzny, Solu Khumbu. Tam osiadł na kilka miesięcy w wiosce Khumjung, przystosowując się całkowicie do sposobu życia miejscowej ludności. W ostatniej fazie tej przygody dołączyła się do niego także jego żona oraz przyjaciel, Joe Macdonald. Wraz z tym ostatnim przeprowadził Hardie pomiary topograficzne nie zbadanych przed tym dolin Inukhu i Hongu na południe od masywu Ewerestu.

Książka napisana nieco chaotycznie, ale w części poświęconej opisom zwyczajów i sposobu życia Sierpów — niezwykle ciekawa. Autor dzielił troski i radości swych gospodarzy nie tylko w ich głównych siedzibach, ale także na letnim pobycie na wysokich halach. Podaje więc mnóstwo szczegółów nie notowanych dotychczas w literaturze himalajskiej. Autor okazuje się obserwatorem życzliwym, mało powiedziane: należy do tych licznych alpinistów, których oczarował folklor górali himalajskich. Najlepszą tego miarą może być pytanie, jakie stawia sobie Hardie całkiem serio w chwili odejścia w drogę powrotną: „Właściwie po co ja opuszczam Khumbu — gdzie znajdę drugą taką ojczyznę?”

jkd

Halina Ptkowska - Wyżanowicz: Od krynoliny do liny. Warszawa 1960. Stron 255 + tablice. Cena zł 31.

I

Piękna książka o kobietach i o Tatrach! Ucieszyłem się wiecie stwierdziwszy, że temat, który mnie zawsze zajmował, znalazł szczególne i fachowe opracowanie przez H. Ptkowską-Wyżanowicz w jej książce „Od krynoliny do liny”, gdzie wyjątkowo żywym stylem została opisana działalność taternicka kobiet w Tatrach.

O ludziach gór i ich poczynaniach taternickich pisano już wiele. Ale, ze względu na jakosć wy udział kobiet w historii taternictwa, odczuwało się bardzo brak pracy, która byłaby poświęcona specjalnie historii rozwoju i ocenie taternictwa kobiecego. Projekt takiej publikacji poddał wybitni polscy alpinści: Witold H. Paryski, Justyn Wojsznis i Wawrzyniec Zuławski, a realizację tego jakże słusznego pomysłu podjęło utalentowane pióro H. Ptkowskiej-Wyżanowicz. Projektodawcy nie tylko nie szczędzili jej przyjaźnych rad i uwag, ale pomogli w zdobyciu szerokiego kręgu informatorów i posiadaczy cennych materiałów źródłowych.

W swej pierwszej części książka poświęcona jest dziejom pionierskiego poznawania Tatr przez kobiety, w drugiej autorka oddałaby uwagę udział polskich kobiet w taternictwie nowoczesnym, w trzeciej dowiadujemy się o działalności taternickiej kobiet innych narodowości, a w czwartej o Polkach-alpinistkach poza Tatrami. Część końcową stanowią rozdziały o przemianach, jakie przechodził kobiecy ubiór taternicki, o zagadnieniach kobiecych wspinaczek samotnych, oraz pogląd na dalsze perspektywy taternictwa kobiecego.

Książka nie jest przeładowana datami biograficznymi, zamierzeniem jej dotyczyły przede wszystkim właściwej działalności taternickiej kobiet, ich pierwszych wejść i ważniejszych przedsięwzięć alpinistycznych.

Z punktu widzenia czechosłowackiego dzieła jest szczególnie cenne dzięki temu, że w znacznej mierze dotyczy czechosłowackiej części Tatr: aktywności polskich taterniczek w dużym stopniu związana jest z pd. stroną tych gór. Zaś rozdział o kobietach nie-Polkach w Tatrach dotyczy w znacznej części Słowaczek i Czechek.

Zakres chronologiczny książki ujęty jest w kłamy od wyprawy Beaty Kościeleckiej - Łaskiej w 1565 r. nad Zielony Staw Kieżmarski, do okresu II wojny światowej. Autorka zdawała sobie jasno sprawę z tego, że dla oceny powojennego taternictwa konieczny jest dystans czasu — i słusznie, że nie porwała się przedwczesnie na to zadanie.

Temat książki bogaty i zajmujący. Można go podać interesując lub nie — napisał autorce w przedmowie Wawrzyniec Zuławski, który niedługo potem zginął tragicznie w masywie Mont Blanc — uczynić z niego suche sprawozdanie lub barwne, emocjonujące opowiadanie, oparte na ściśle sprawdzonych faktach. Autorka słusznie wybrała drugą ewentualność i miała szczęśliwą rękę. Jej praca jest nową cenną pozycją w bogatej literaturze tatrzańskiej.

Ivan Bohuš

Doczekaliśmy się „branzowej” niejako książki o roli kobiet w historii tatarnictwa. Powiedzmy od razu: problem, a więc i książka jemu poświęcona wydają się z perspektywy dnia dzisiejszego co najmniej sztuczne. Czy kobieta ma duszę?

Ta historyczna kontrowersja znalazła w światku i pismach tatarnickich swe specyficzne wydanie: tzw. rola kobiety w tatarnictwie i tzw. problem wysokogórskiej samodzielności kobiet. Jakis odprysk dławącego jałowości i uporczywości problemu „czy tatarnictwo jest sportem”. Spory sięgają zamierzchłej przeszłości tatarnictwa; znajdowały wyraz w „Taterniku” i ostrych dyskusjach klubowych (np. w krakowskiej STAZS), a do dziś pobrzmiewają w wieczornych tatarnickich rozmowach. Lubią co pewien czas zadzierać wybuchać, jak — nie przymerzając — polemiki o reformie ortografii polskiej.

Za słowami szły czyny: na granie i ściany podejmowano natarcia, mające spór rozstrzygnąć ostatecznie (natarcia — dodajmy — często tragicznie zakończone). Jak wiadomo, ostatecznie nic nie rozstrzygnięto, więc mamy prawo przypuszczać, że przyszłość nie przyniesie rewelacji.

Jakż z tego wniosek? Czy problem jest tak wielkiej wagi, że nie mógł się doczekać definitywnego rozwiązania? Czy może jest wręcz przeciwnie? Pozorność przeciwnieństw chyba nie ulega dzisiaj wątpliwości, tak jak błędna kariera pasjonującej ognis wrzawy. Wrzawa miała swoje smaczki, dramaty i wynikające z nich łatwe legendy, nie dziwne zatem, iż tak wolno przycicha.

Zostały fakty, spory materiał do interesującej książki historycznej. Niełatwo; do napisania, bo narzucone na mielizny i mialkości pseudoproblemów, ciśnienie legend i wielce szacownych przekazów ustnych, w końcu — na trudność źródłową.

Płóro Haliny Ptkowskiej-Wyżanowicz zważyło te przeszkody ze znużeniem powodzeniem. Założeniem jej było problemowe potraktowanie tematu. Ze szczególnym dla książki rzadko tylko realizowała to zamierzenie. Może właśnie ujęcie kronikarskie odpowiadało najbardziej względnej bliskości tematu. Widać intuicja strzegła autorkę przed sztucznym rozdmuchiwaniem wątku zagadnienia. (Nawiasem, paradoks: nagminna niemal wada opracowań historyczno-tatarnickich, jaką jest obranie metody rejestracyjnej zamiast problemowej, w naszym przypadku stała się zaletą). Wied ostepstwa od założeń są minimalistycznymi sukcesami.

Drugi, oczywisty postulat: historyczny (choć popularny) charakter książki nie został w pełni u rzeczywistniony, tym razem już z wyraźną szkodą. Halina Ptkow-

ska — Wyżanowicz nie wykorzystała obfitych — mimo wszystko — możliwości tematu i ograniczyła się w istocie do wymienienia w chronologicznym porządku wszystkich znakomitszych tatarniczek, do podania sylwetek wyciętych z papieru bibliografii.

Autorka jakby stanęła w polowie drogi: nie napisała ani zbeletryzowanej pracy historycznej, ani nie zrobiła dobrej, popularnej literatury z ciekawego, w każdym razie, przedmiotu. Były tutaj możliwości naszkicowania środowiska, obyczajów i stylu bycia tatarnickiego. Tym większa strata, że właściwie nie posiadamy popularnego ale rzetelnego potraktowania obyczajowego. A materiał jest pasjonujący i w znacznej części dostępny dla druku. Folklor tatarnicki jeszcze czeka na swojego Kolberga.

Źródła. Zgoda, nie ma ich wiele lub są niedostępne, o niektórych ludziach nie mamy żadnych przekazów pismennych. Lecz czytelnika musi razić zbyt częste i bezlitosne przepisywanie z przewodnika W. H. Paryskiego czy zestawionych w „Taterniku” nowych dróg. Nierzadkie uproszczenie polega na przyjęciu skrajnych dat kariery wysokogórskiej wyłącznie na podstawie owych danych. Z kolei, kilka tatarniczek potraktowano jedynie od strony itinerarium.

Jeszcze dwie pretensje należy zgłosić do autorki. Zastrzegę się bowiem ona, że napisała pracę „kronikarską” i naturalne jest wobec tego pominięcie czasów najnowszych (od drugiej wojny światowej). Otóż, bez przesady — to nie historia powszechna. Jeśli ktoś jest skłonny poddać się niewątpliwemu urokowi długowiecznej dyskusji „czy tatarniczka ma duszę”, to właśnie we współczesności znajdzie rozwiązanie nekających go pytań o „roli kobiety w tatarnictwie”. Ów przebiegający w książce raz po raz problem znalazłby w tym brakuującym rozdziale swe proste, choć rozczarowujące naturalnością rozwiązanie. Pewien, już nie fikcyjny proces znalazł w naszych czasach zakończenie. Szkoda, że nie znalazł go w książce.

Ptkowska — Wyżanowicz jest jednak niezbyt konsekwentna i w samym końcu dochodzi przecież do lat ostatnich. Jak się one przedstawiają? Z przytoczonych rozmów oraz własnych spostrzeżeń płyną wnioski następujące:

1. Na kursach dla początkujących instruktorami są ludzie nieodpowiedzialni, karygodnie lekceważący podstawowe obowiązki i przekładający nad nie swoje prywatne interesy.
2. Naciągają oni państwo na urlopy społeczne.
3. Diametralnie odwrócona w stosunku do lat dawnych sytuacja przejawia się dziś wzmożoną samodzielnością kobiet, co kończy się nieprzygotowanymi biwakami.
4. Nowicjuski dochodzą w pierw-

szym sezonie do dróg nadzwyczaj trudnych.

Upraszczam, wulgaryzuję. Ale... czyż nie takie wnioski wyciągnie niepoinformowany czytelnik?

Sprawa druga. Opisywany w książce „Od krynoliny do liny” udział kobiet w tatarnictwie trochę wisi w próżni. Temat został nieco oderwany od naturalnego podłoża, czyli historii tatarnictwa w ogóle. Książka, choć poświęcona wyłącznie kobietom, nie może sprawiać wrażenia, że jeśli w Tatrach wspinali się mężczyźni, to jedynie jako partnerzy kobiet.

„Od krynoliny do liny” napisała jest żywo i potocznie, a rzadko tylko musimy brnąć przezskody cikliwego sentymentalizmu i banału („A na nizinach w duszności miast oddychają wspomnieniem wyżynnego powietrza, we frazach scherza cis moli Chopina słysząc rozlewającą się po granitowych blokach, rozpedzoną...” itd.).

Jeśli przeczytaliśmy ksążkę jednym czy kilkoma „tchami” i wydała się nam — mimo wszystko — sympatyczna, jest to nie tylko zasługą Tatr.

Andrzej Grzybowski

III

Chcąc odpowiedzieć na przeczytaną jeszcze w maszynopisie recenzję kolegi A. Grzybowskiego z książki H. Ptkowskiej-Wyżanowicz „Od krynoliny do liny”, musiałam kilka razy przebrać przez gmatwaninę słów, którymi kolega A. G. zalewa czytelnika, abym mogła zrozumieć, o co mu właściwie chodzi: czy to ma być recenzja książki, czy nowy atak antyfeministyczny na tatarnictwo kobiece?

W odpowiedzi na recenzję tę chciałam przede wszystkim zapytać, w jakim czasie i w jakiej przestrzeni żyje kolega A. G.? Czy w Polsce w r. 1961, czy też sto lat temu? Czy też może w r. 1961, ale np. w Angoli?

Wydaje mi się, że emancypacja kobiet posunęła się tak dalece, że kobieta w każdej dziedzinie życia może dorównać mężczyźnie, a w niektórych nawet go przewyższyć. Dlaczego więc nie może konkurować z nim w tatarnictwie? Istnieją oczywiście różnice anatomiczne i fizjologiczne między osobnikami obojga płci i dlatego nie zawsze można te same wymagania stawiać tatarniczkom jak taternikom, podobnie zresztą jak i w innych dyscyplinach sportowych.

Ale czyż kobiety nie są w stanie pokonywać tych samych trudności bez udziału mężczyzn? Doczekaliśmy się wreszcie czysto kobiecego przejścia okrytej legendą p.d. ściany Zamarłej Turni, źródka Kazalnicy, źródka pn. ściany Zabiej Turni Mięgoszowieckiej i innych.

Czy przyszłość nie przyniesie rewelacji? Wydaje mi się, że już teraz nie ma wątpliwości, że przyniosła, a na potwierdzenie tego pozwól sobie

wymienić nazwiska światowej sławy alpinistów i himalaistów: Claude Kogan, Loulou Bouiaz, Kazakowa itp.

Czy — jakby to się wydawało z recenzji kolegi A. G. — kobieta nie ma „duszy”? Czy nie potrafi poprawnie, rozsądnie, logicznie rozumować? Czy wspinając się bez mężczyzny musi li tylko popełniać błędy, których skutki mogą być tragiczne?

Nie można, moim zdaniem, przeprowadzać tu linii podziału między taternikami a taterniczkami. Liczba wypadków jest, mimo wszystko, zgodnie z zasadą prawdopodobieństwa proporcjonalna do ilości wspinających się. W sumie zginęło więcej taterników, bo wspina się więcej mężczyzn. I wszystkie słusznie podejmowane kroki zmierzające do zmniejszenia ilości tragedii tatrzańskich, walczące z lekkomyślnością, nie doprowadzają nigdy do całkowitej likwidacji wypadków.

Dlaczego kobiety pozostają niejako w tyle za mężczyznami, jeżeli chodzi o ich wspólne wyzyny?

1) Mężczyźni często nie uważają kobiet za pełnowartościowe partnerki na drogach wyczynowych, chociaż niektóre taterniczki potrafią przełamać te uprzedzenia i biorą udział w tego rodzaju przejściach.

2) Jeżeli już takie przejście się zdarzy, przeważnie urabia się opinia, że dokonanie go było zasługą jedynie mężczyzny, który jest tak dobrym wspinaczem, że nie dość iż sam przeszedł, ale przeciągnął jeszcze „babkę” przez drogę. Równie dobrze mógłby przejść tę drogę samotnie.

3) W tej sytuacji kobiety zaczynają tworzyć samodzielne zespoły linowe. Dźw gają wtedy na sobie ogromne obciążenie psychiczne i ambicjonalne i tym samym zwiększa się niebezpieczeństwo subiektywne wspinaczki, bo każde niepowodzenie znajduje od razu odzew w środowisku taternickim: „Wiadomo, poszły babki”.

A czy wszystkie męskie wyprawy kończyły się zawsze szczęśliwie? Niech kolega A. G. sięgnie do własnych wspomnień.

Mimo wszystko wspinanie się samodzielnie kobiet wężej im daje — i wyżej sobie cenię drogi przebyte w kobiecych zespołach, choćby były łatwiejsze, od tych trudniejszych, które przeszedł z kolegami.

Kolega A. G. zgłasza też szereg zarzutów co do samego ujęcia tematu książki. Uważa np., że za mało w niej napisano o mężczyznach, o środowisku, o stylu życia taternickiego itp. Moim zdaniem autorka właśnie bardzo słusznie trzyma się swego tematu, nie rozpraszając się niepotrzebnie w innych, które poszerzyłyby znacznie rozmiary książki i zagubiły temat właściwy. „Folklor taternicki”, o który się upomina kolega A. G., wymaga zupełnie odrębnego opra-

cowania; związany jest z taternictwem ogólnym, a nie z kobiecym specjalnie. Książka nie miała na celu przedstawienia historii taternictwa w całości, zaś podane w niej tło historyczne jest najzupełniej wystarczające. Wymienione w niej nazwiska wybitnych taterników, partnerów kobiet przedstawionych w książce, mówią same za siebie.

Nie można też stawiać zarzutów, że za najbardziej rzetelne źródła uznała autorka przewodnik W. H. Paryskiego i pismo „Taternik”. Czy miała sama komponować nowe drogi dla opisywanych przez siebie taterniczek?

Autorka ma też pełne prawo stawiać swej książce granice czasowe, jakie uzna za stosowne. Przyjęła zresztą dystans czasu taki, jaki biorą wszystkie słowniki biograficzne. I to jest słuszne, bo czyjaś działalność można ocenić dopiero z pewnego dystansu — czy życie nie przekonało o tym kol. Grzybkowskiego?

Pod względem literackim nie uważam książki ani za banalną, ani za sentymentalną; całe szczęście, że nie jest ona jedynie suchym historycznym zestawieniem działalności kobiet, ale napisana przyjemnie, ładnym stylem i z polemiką.

Narzucając się koledze A. G. wnioski, jakie może jego zdaniem wysnuć z lektury nie poinformowany czytelnik, są właśnie całkowicie słuszne i prawdziwe, i takie się powinny narzucać. Można je tylko uzupełnić tym, że działalność taternicka mężczyzn też kończy się często nieprzewidywanymi biwakami i katastrofami, i że nowicjusze dochodzą nieraz w pierwszym sezonie nie tylko do dróg nadzwyczaj, ale i skrajnie trudnych. Niepotrzebne było zatem formułowanie owych „wniosków” przez kol. Grzybkowskiego.

Barbara Morawska

Jerzy Brzozowski: Ruch turystyczny w schroniskach tatrzańskich w 1958 r. „Ruch Turystyczny”, Warszawa, 1960, zeszyt 1, s. 61—76 + tablice.

Ruch turystyczny na terenie gór polskich jest najbardziej intensywny w Tatrach i tam właśnie stwarza najbardziej różnorodne problemy, które wymagają pilnego rozwiązania zarówno ze względu na bezpośredni interes turystów, jak i szerszy interes społeczny, jakim jest np. ochrona przyrody, czy też wyzyskanie masowej turystyki do osiągnięcia celów wychowawczych i innych.

Mówi się o tym i pisze od dawna, gdybyśmy jednak chcieli znaleźć w literaturze jakieś naukowe opracowania bądź całości zagadnienia, bądź jakichś jego fragmentów, to zawiedliśmy się prawie całkowicie. Dużo artykułów publicystycznych, trochę notatek materiałowych i przez cały okres

powojenny chyba w sumie zaledwie kilkanaście artykułów i notatek (głównie w „Biuletynie Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego” i w „Wierchach”), które trochę głębiej analizują pewne sprawy związane z ruchem turystycznym w Tatrach.

Z aplauzem należy więc powitać wykonaną pod kierunkiem prof. Antoniego Wrzóska pracę Jerzego Brzozowskiego, analizującą w sposób naukowy ruch turystyczny w schroniskach tatrzańskich. Autor, mający ściśle powiązanie z terenem i ruchem turystycznym, gdyż jest egzaminowanym przewodnikiem tatrzańskim — dał dokładną i przejrzystą analizę obranego tematu, przeprowadzoną od strony metodycznej poprawnie i zasadniczo krytycznie (np. słusznie nie uwzględnia on w niektórych wypadkach danych statystycznych ze schronisk prywatnych, jednakże należało tak zrobić nie tylko z powodu ich niskich cyfr, ale przede wszystkim z powodu ich zasadniczej niewiarogodności).

Skoro jednak autor oblicza nawet procentowy udział turystów według płci, to warto było się pokusić o obliczenie lub przynajmniej oszacowanie udziału taterników wśród nocujących w schroniskach Tatr Wysokich. Przypadałoby, że autor podkreślił jednak wpływ udziału taterników na kulminację frekwencji zimowej przy Morskim Oku.

Wydaje się też, że można było spróbować powiązać z sobą analizę frekwencji w niektórych sąsiadujących z sobą schroniskach, jak przy Morskim Oku i w Starej Roztoce, gdyż wiadomo przecież, że nadmiar chętnych do nocowania przy Morskim Oku często „przelewa się” do Starej Roztoki.

To są jednak tylko dezideraty pod adresem autora o pełniejsze potraktowanie tematu, tematu niewątpliwie bardzo skomplikowanego. Natomiast wnioski końcowe autora, przedstawiające środki zaradcze na przepełnienie schronisk tatrzańskich w kulminacyjnych okresach letnich czy zimowych, są tak zwięzłe, że w swej całości przestają być słuszne, gdyż zupełnie nie uwzględniają tak ważnych czynników, jak baza noclegowa u podnóża Tatr i stosunki komunikacyjne, a przecież czynniki te wywierają zasadniczy wpływ na frekwencję w schroniskach górskich.

Praca Brzozowskiego, chociaż nie wyczerpująca, jest bardzo cenna i miejmy nadzieję, że jest zapowiedzią dalszych tak potrzebnych analiz naukowych ruchu turystycznego w Tatrach. Dopiero takie analizy mogą stanowić odpowiedni materiał do rozsądnego planowania i organizowania tego ruchu.

W. H. Paryski

Uwagi o skali trudności

W „Taterniku” stosuje się dla dróg tatrzańskich tę samą skalę trudności, co w przewodniku „Tatry Wysokie” W. H. Paryskiego (por. s. 15—18 w części I oraz uzupełnienie o klasyfikacji dróg ze sztucznymi ułatwieniami we wstępie do części IX), tj. 9-stopniową skalę przymiotnikową, od dróg bez trudności do dróg skrajnie trudnych. (Sprawy dróg ze sztucznymi ułatwieniami tu nie poruszam).

W praktyce taternickiej i na schematach dróg taternickich przyjęło się jednak w ostatnich czasach stosowanie również oznaczeń liczbowych (I—VI), wzorowanych na alpejskiej skali Welzenbacha, chociaż nie odpowiadających jej ściśle. Co gorsza, stosowanie oznaczeń liczbowych w Tatrach (powszechne w nowszych czeskich i słowackich przewodnikach taternickich) nie jest zawsze dokładnie jedno-

znaczne, jeżeli chodzi o stopnie niższe (I—III).

Stosowanie oznaczeń liczbowych na schematach jest konieczne, jeżeli mają one być przejrzyste, a w tekście opisów — trzeba przyznać — nie tylko oszczędzają miejsca, ale również dają szybszą orientację optyczną w rozkładzie trudności — pod warunkiem, że są stosowane konsekwentnie (najlepiej w nawiasach).

Wobec powyższego — zresztą zasadniczo potwierdzając tylko praktykę dotychczasową — stosować się będzie w „Taterniku” następujące równoznaczne oznaczenia trudności dróg lub ich fragmentów, z tym że w ocenie całości drogi używa się zasadniczo określenia przymiotnikowego (w mowie potocznej jednak również i liczbowego):

Skala przymiotnikowa	Skala liczbowa
bez trudności	(bez równoznacznych oznaczeń liczbowych)
b. łatwe	" " " "
łatwe	" " " "
nieco trudne	I (jedyńka)
dość trudne	II (dwójka)
trudne	III (trójka)
b. trudne	IV (czwórka)
nadzwyczaj trudne	V (piątka)
skrajnie trudne	VI (szóstka)

Dla oznaczenia dolnej lub górnej granicy danego stopnia trudności dodaje się do odpowiedniej liczby znak minus lub plus, np. V—, V+.

Podkreślić trzeba, że te oznaczenia liczbowe (I—VI) odpowiadają alpejskim tylko w przybliżeniu, a czechosłowackim dokładnie tylko w zakresie IV—VI oraz w przybliżeniu w zakresie I—III.

Dla uniknięcia dalszego zamieszania — przynajmniej w polskim piśmiennictwie taternickim — należy na przyszłość przy sporządzaniu opisów czy schematów dróg taternickich trzymać się powyższej tabelki.

WHP

Sprawy Klubu Wysokogórskiego

Z Koła Lubelskiego KW

Obecny zarząd Koła Lubelskiego KW (Lublin, Plac Litewski 2) przedstawia się następująco:

Przewodniczący Jan Kowalczyk, wiceprzewodniczący do spraw sportowych i szkoleniowych Bohdan Darwaj, wiceprzewodniczący do spraw propagandy Alojzy Gzela, sekretarz Józefa Zawadzka, skarbnik Lucjan Nędzyński, członek zarządu Krzysztof Wojciechowski.

Jan Kowalczyk

Z Koła „Trójmiasto” KW

Sprostowanie. Na str. 48 nr 3-4/1960 „Taternika” autor notatki o działalności Koła „Trójmiasto” KW przez przeoczenie pominął w składzie zarządu koleżankę Annę Solarewicz, wieloletniego skarbnika tegoż Koła — co niniejszym uzupełniamy.

(R.)

Delegaci KW do UIAA

Plenarne zebranie Zarządu Głównego KW, obradujące dnia 14 V 1931 w Krakowie, wyznaczyło prof. dra Walerego Goetla i Witolda Paryskiego stałymi delegatami Klubu Wysokogórskiego do Międzynarodowej Unii Towarzystw Alpinistycznych (Union Internationale des Associations d'Alpinisme, UIAA). Prof. Goetel był jednym z założycieli Unii i aż do ostatniej wojny członkiem jej komitetu wykonawczego. (R.)



Gierlach, Ganek i Kończysta z Niżnich Rysów

Fot. Eugeniusz Piątkowski

Listy do redakcji

W sprawie tatarniczek, które zginęły w Tatrach

W trakcie czytania książki Haliny Ptakowskiej-Wyżanowicz „Od krynoliny do liny” nasunęła mi się pewna myśl, z którą zwracam się do Redakcji.

Sporo kobiet tatarniczek zginęło w górach, a nazwisko żadnej — o ile mnie pamięć nie myli — nie jest wspomniane na Cmentarzu Symbolicznym pod Osterwą. Czy nie można by ze składek ludzi dobrej woli umieścić tam takiej tablicy?

Jadwiga Zawańska
Zakopane

*

Odpowiedź Redakcji

Oczywiście można by taką tablicę tam umieścić, gdyż zasadniczych przeszkód czy trudności nie ma. Trzeba by tylko aby ktoś tą sprawą się zajął, np. polskie tatarniczki, ewent. w porozumieniu ze swymi koleżankami z Czechosłowacji i nawet Anglii (w Tatrach zginęła alpinistka Ruth Hale, sekretarka Ladies' Alpine Club). Tablica taka powinna mieć chyba charakter międzynarodowy.

Wprawdzie Klub Wysokogórski zamierza umieścić na Tatrzańskim Cmentarzu Symbolicznym pod Osterwą zbiorową tablicę dla upamiętnienia wszystkich swoich członków, którzy zginęli w górach, jednakże nie wszystkie nazwiska polskich tatarniczek (nie mówiąc o obcych) znajdują się na tej tablicy.



Tablica Klimka Bachledy na Tatrzańskim Cmentarzu Symbolicznym pod Osterwą

Fot. Marian Sowa

Taternik

Organ of the Polish Mountaineering Club

Revue du Club Polonais de Haute Montagne

Organ des Polnischen Bergsteigerklubs

Volume XXXVII (1961), No. 2(171), Zakopane
Jahrgang

Editor
Rédacteur } W. H. Paryski, Antałówka 7, Zakopane (Poland, Pologne, Polen)
Schriftleiter }

The journal „Taternik” is published four times a year by the Polish Mountaineering Club (Klub Wysokogórski). The journal „Taternik” is gladly sent in exchange for mountaineering, tourist, speleological or geographical publications.

La revue trimestrielle „Taternik” est une publication du Club Polonais de Haute Montagne (Klub Wysokogórski). La revue „Taternik” vous sera très volontiers expédiée en échange contre publications du domaine de l'alpinisme, du tourisme, de la spéléologie et de la géographie.

Die Zeitschrift „Taternik” erscheint vierteljährlich, herausgegeben vom Polnischen Bergsteigerklub (Klub Wysokogórski). Die Zeitschrift „Taternik” wird gern gegen alpinistische, touristische, speläologische oder geographische Publikationen ausgetauscht.

CONTENTS

TATRA SUITE (by J. Kolankowski)	page 66	HISTORICAL NOTES ON MOUNTAINEERING IN THE TATRAS	79
Poem dedicated to the memory of two Polish mountain-climbers who perished in an ava- lanche in the Tatras.		HISTORICAL NOTES ON POLISH MOUN- TAINNEERING ABROAD	83
FROM MY BOOK OF CLIMBS (by A. Neh- ring)	70	NEWS FROM THE TATRAS	85
Impressions from a climb in the Tatras.		WINTER ITINERARIES IN THE TATRAS	86
STANISŁAW PORĘBSKI (by W. H. Paryski)	72	NEW ROUTES IN THE TATRAS	89
REMINISCENCES OF MY ROPE COMPANION (by J. Roguska-Cybulska)	74	HIMALAYAN NOTES	96
The latter two articles are devoted to Sta- nisław Porębski, a well-known Polish moun- tain-climber.		SPELEOLOGY AND UNDERGROUND CLIM- BING	101
CONTEMPORARY MOUNTAIN-CLIMBERS (by J. Flach)	77	BOOK REVIEWS	102
Discussion of some aspects of the present conditions for mountain-climbing for the young generation of Polish climbers.		VARIOUS NOTES	107
		CLUB PROCEEDINGS	108
		LETTERS TO THE EDITOR	109
		FROM THE EDITOR	112

SOMMAIRE

SUITE DES TATRAS (<i>J. Kolankowski</i>) . . . 66 Poème consacré à la mémoire de deux alpinistes polonais, qui étaient périés dans une avalanche dans les Tatras. FRAGMENT DE MON LIVRE DES ESCALADES (<i>A. Nehring</i>) . . . 70 Impressions d'une escalade dans les Tatras. STANISŁAW PORĘBSKI (<i>W. H. Paryski</i>) . . . 72 RÉMINISCENCES DE MON COMPAGNON DE CORDEE (<i>J. Roguska-Cybulska</i>) . . . 74 Les deux articles sont consacrés à Stanisław Porębski, alpiniste polonais éminent. ALPINISTES D'AUJOURD'HUI (<i>J. Flach</i>) . . . 77 Discussion sur certains aspects des conditions actuelles pour exercer l'alpinisme par la génération de jeunes alpinistes polonais. MATÉRIAUX CONCERNANT L'HISTOIRE DE L'ALPINISME DANS LES TATRAS . . . 79 MATÉRIAUX CONCERNANT L'HISTOIRE DE L'ALPINISME POLONAIS À L'ÉTRANGER . . . 83	NOUVELLES DES TATRAS 85 ITINÉRAIRES HIVERNAUX DANS LES TATRAS 86 NOUVEAUX ITINÉRAIRES DANS LES TATRAS 89 NOUVELLES HIMALAYENNES 96 SPÉLÉOLOGIE SCIENTIFIQUE ET SPORTIVE 101 LES LIVRES NOUVEAUX 102 NOTICES DIVERS 107 ACTIVITÉS DU CLUB POLONAIS DE HAUTE MONTAGNE 108 CORRESPONDENCE 109 DE LA PART DE LA RÉDACTION 112
---	---

INHALTSVERZEICHNIS

SUITE DER TATRA (<i>J. Kolankowski</i>) . . . 66 Gedicht gewidmet an zwei polnischen Bergsteiger, die in einer Lawine in der Tatra untergegangen sind. AUS MEINEM KLETTERBUCH (<i>A. Nehring</i>) . . . 70 Eindrücke aus einer Bergkletterei in der Tatra. STANISŁAW PORĘBSKI (<i>W. H. Paryski</i>) . . . 72 ERINNERUNGEN AN MEINEM SEILKAMERADE (<i>J. Roguska-Cybulska</i>) . . . 74 Zwei Artikel gewidmet an Stanisław Porębski, einem wohlbekannten polnischen Bergsteiger. BERGSTEIGER VON HEUTE (<i>J. Flach</i>) . . . 77 Diskussion über manche Ansichte auf die Anbl'cke an heutige Bergklettereiumstände für die junge Generation der polnischen Bergsteiger.	MATERIAL ZUR GESCHICHTE DES ALPINISMUS IN DER TATRA 79 MATERIAL ZUR GESCHICHTE DES POLNISCHEN ALPINISMUS IM AUSLANDE 83 NACHRICHTEN AUS DER TATRA 85 WINTERTOUREN IN DER TATRA 86 NEUE BERGFABRTEN IN DER TATRA 89 AUS DEM HIMALAYA 96 SPELÄOLOGIE 101 SCHRIFTENSCHAU 102 NOTIZEN 107 AUS DEM KLUBSLEBEN 108 BRIEFE AN DIE SCHRIFTFÜHRUNG 109 MITTEILUNGEN DER SCHRIFTFÜHRUNG 112
---	---

Taternik

ОРГАН ПОЛЬСКОГО ВЫСОКОГОРНОГО КЛУБА

Том XXXVII (1961), № 2 (171), Закопане, Польша

СОДЕРЖАНИЕ

ТАТРАНСКАЯ СЮИТА (Ю. Колянковский)	66	МАТЕРИАЛЫ К ИСТОРИИ АЛЬПИНИЗМА В ТАТРАХ	79
Стихи посвященные памяти двух польских альпинистов погибших в Татрах в лавине.		МАТЕРИАЛЫ К ИСТОРИИ ПОЛЬСКОГО АЛЬПИНИЗМА ЗА ГРАНИЦЕЙ	83
ИЗ КНИЖКИ МОИХ ВССХОЖДЕНИЙ (А. Нэринг)	70	ИЗ ТАТЕР	85
Впечатления из скалолазания в Татрах.		ЗИМНИЕ ПУТИ В ТАТРАХ	86
СТАНИСЛАВ ПОРЭМСКИ (В. Х. Парыски)	72	НОВЫЕ ПУТИ В ТАТРАХ	89
ВСПОМИНАНИЯ О МОЕМ ТОВАРИЩЕ ПО ВЕРЕВКЕ (Я. Рогуска-Цыбульская)	74	ИЗ ГИМАЛАЕВ	96
Последние две статьи посвящены Станиславу Порэмскому, известному польскому альпинисту.		СПЕЛЕОЛОГИЯ И ПЕЩЕРНОЕ СКАЛОЛАЗАНИЕ	101
СОВРЕМЕННЫЕ АЛЬПИНИСТЫ (Я. Флях)	77	ИЗ ЛИТЕРАТУРЫ	102
Обсуждение некоторых аспектов нынешних условий скалолазания для молодой генерации польских скалолазов.		ЗАПИСКИ	107
		ДЕЛА ВЫСОКОГОРНОГО КЛУБА	108
		ПИСЬМА В РЕДАКЦИЮ	109
		ОТ РЕДАКЦИИ	116

Журнал «Татерник» выходит 4 раза в год и издается Польским Высокогорным клубом. Редактор: В. Х. Парыски, Анталовка 7. Закопане, Польша (W. H. Paryski, Antałówka 7, Zakopane, Polska).

Журнал «Татерник» охотно высылается в обмен на альпинистские, спелеологические и географические издательства.

OD REDAKCJI

Redakcja apeluje do członków Klubu Wysokogórskiego o szybsze nadsyłanie choćby krótkich sprawozdań czy notatek o swych ważniejszych osiągnięciach górskich, zwłaszcza z wyjazdów zagranicznych. Rozumiemy zasilanie takimi sprawozdaniami, opisami i zdjęciami w pierwszej kolejności prasy codziennej i innych wydawnictw płacących dobre honoraria, jednakże nie uważamy za słuszne, aby „Taternik” (przecież organ Klubu Wysokogórskiego) musiał referować ważne wydarzenia w polskim alpinizmie na podstawie materiałów z drugiej ręki.

Redakcja wciąż walczy z różnorakimi trudnościami stojącymi na przeszkodzie regularne-

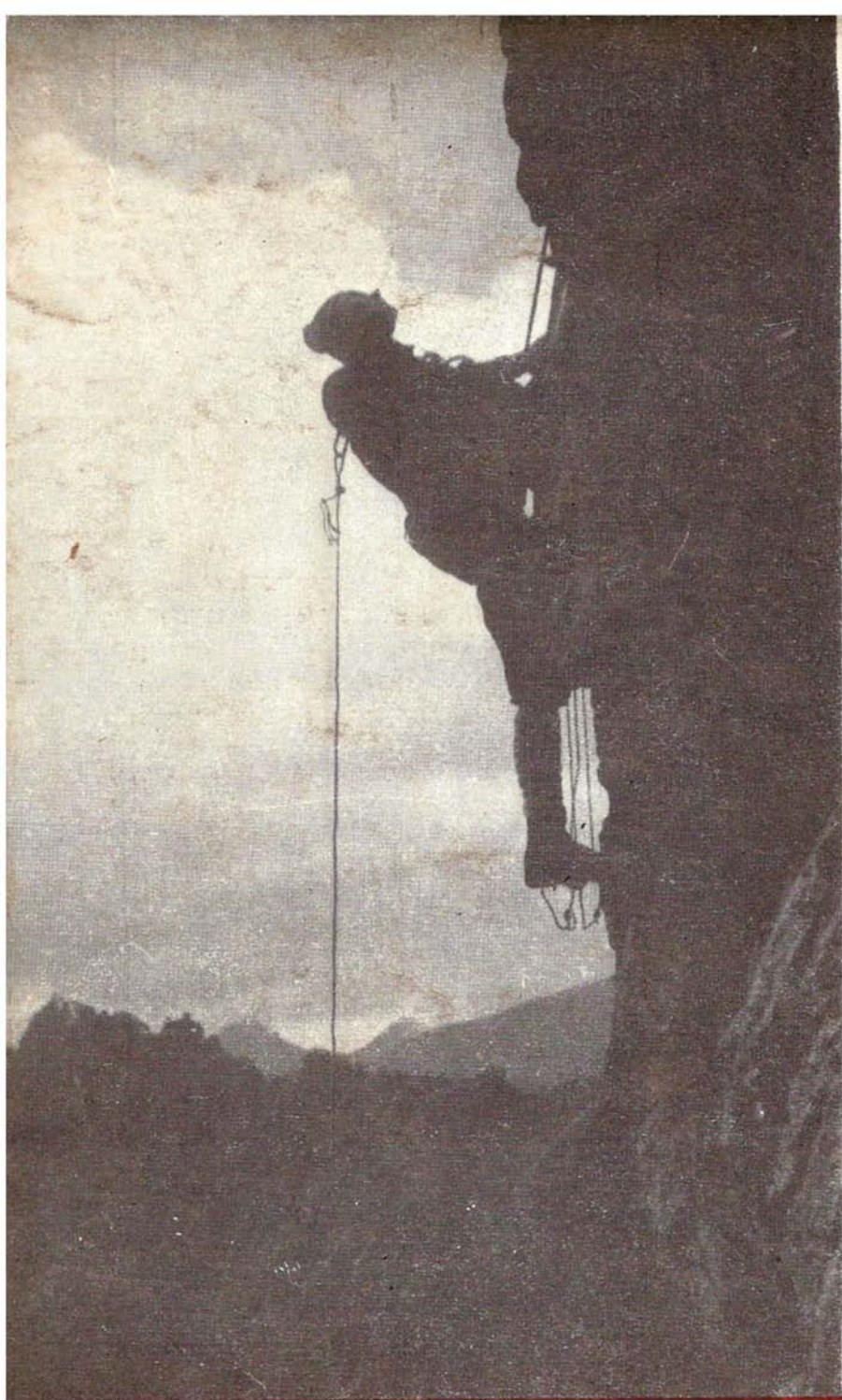
mu i terminowemu ukazywaniu się pisma i ma nadzieję, że w ciągu roku 1962 doprowadzi do wybitnego polepszenia w tej dziedzinie, natomiast sprawa podawania bardziej aktualnych wiadomości o działalności polskich alpinistów jest zależna przede wszystkim od nich samych. Wprawdzie długość tzw. cyklu produkcyjnego poszczególnych numerów pisma jest utrudnieniem w szybkim informowaniu o nowych wydarzeniach, gdyż cykl ten wynosi kilka miesięcy, ale większym utrudnieniem jest wielomiesięczna opieszałość wielu (nie wszystkich!) taterników w dostarczaniu „Taternikowi” odpowiednich materiałów.

Numery archiwalne „Taternika” do nabycia w Administracji

(adres: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439)

Rocznik 33 (1957), nr 1 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 2 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 3 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 4 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
Rocznik 34 (1958), nr 1 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 2 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 3 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
Rocznik 35 (1959), nr 1 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 2—3 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 4 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
Rocznik 36 (1960), nr 1 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 2 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10
nr 3—4 .	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	zł 10

(Do cen powyższych dolicza się koszt przesyłki).



WYDAWNICTWO „SPORT I TURYSTYKA“

Cena zł 10